

niech żyje
1 maja

Proletariusze wszystkich krajów łączcie się



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 2 maja 1954 r.

Nr 18 (214) Rok V

WOJCIECH ŻUKROWSKI

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

List do myślącego Francuza „W przeddzień potopu”

(NOTATKI PO KRÓTKIEJ PODROŻY)



Rysunek piórkiem wietnamskiego grafika Mai-Van-Hien'a

dectwo bohaterstwu i szlachetności Wietnamczyków. Obóz bez drutów, obóz wioska. Jeny często mają więcej żywności niż nieliczni wartownicy. Jednak jest ciężko, jest bardzo ciężko: wilgoć, brak lekarstw, choroby, nostalgia... Czarne noce pod arkadami olbrzymich drzew, mierzzone stukaniem ołowianych kropli staczających się po liściach, cienkie nuty komarów, brzęk natarczywy świerszczy, duszny opar, odory szalejącej roślinności...

Ale w to zielone piekło został wpędzony cały naród. Tam dopiero napastnicy pojmują, jaką krzywdę zrobili każdej rodzinie, kobietom, milionom dzieci, które uczą się nocami przy lampkach oliwnych. Narzeczcie pojmują, że w tej nikczemnej wojnie utracili godność żołnierzy... Dopiero teraz widzą, gdzie jest prawdziwy interes Francji.

Kochana dziewczyno, w młodości byłaś katoliczką, która pracuje w szpitaliku jenieckim. Została dobrowolnie. Ona chce bodaj w częste wyrównać krzywdy jakie robią Wietnamczykom tej współrodaty. Walczy z cierpieniem, walczy z okrucieństwem, tłumaczy żołnierzom z korpusu ekspedycyjnego, że stali się podobni do tych, którzy spalili Oradour, którzy u Was byli najeźdźcami. Ona jest wierna Francji, prawdziwej Francji.

Ta wojna jest dla Was przegrana. Ta wojna jest straszliwym nonsensem. Przecież straszliwie surowe i towary, które wydzieracie Wietnamczykom wraz z potem, krwią i życiem, moglibyście dostać podpisawszy traktat handlowy, zawariszy pokój z Wolnym Wietnamem.

Nie można złać obudzonego narodu. To nie jest tylko sprawa komunistów. Każdy człowiek chce być u siebie gospodarzem, chce jeść do syta, chce widzieć przed sobą otwartą drogę.

Tocząca się walka mówi o tej upartej, cierpliwej woli. Przejścia rękami wykute w skałę, tony ryżu i amunicji przenoszone o setki kilometrów, ziemia mimo nalołów uprawiana z miłością. Tego nie można wymusić, tego nie da żadna mobilizacja — to po prostu wola zwycięstwa. Niezlomna wiara.

Ileż razy widziałem chaty płonące, dzunglę zasnętą dymami. Ile bomb z napalmem spadało na wioski... Rozbite drogi naprawiano o zmierzchu, nie było przerw w transporcie. W parę godzin odbudowywano chałupy, mówiono mi dumnie: „Wygrywamy wyścig z samolotami, mamy więcej bambusu niż oni bomb...”

A przecież każda bomba kosztuje... Ameryka nie daje uzbrojenia darmo... Za każdą tonę sprzętu płacicie podwójnie, bo i Waszej krwi się nie szczędzi...

Muszę przyznać, że nieraz myślałem pijąc w grocie zdobycznego „Duboneta”, jedząc sardynki z oficerskiego kasyna rozbitych fortów, jakże bardzo trzeźwiące byłoby dla przeciwnego płatnika podatków zobaczyć, na co idą jego pieniądze... Jak się je tu trwoni. No, bomby, to jasne, że pieniądze wyrzucone, ale wino, które wypiliśmy pozwoliło nam miłe wspominać uroki słonecznej Burgundii.

Pokochałem Wietnamczyków. Ileż razy tam, na froncie, pod krążącymi samolotami, mówiliśmy o Francji przyjaźnie. To jeszcze bardziej nas zbliżyło. Każdy dzień tam przeżyty był wielką lekcją braterstwa między narodami. Dlatego chciałem w imieniu bohatersko walczącego Wietnamu powtórzyć Wam, myślącym Francuzom, prostą prośbę: „Nie zmuszajcie ich do niewańści! Nie zabijajcie im w sercach — Francji!”

Wojciech Żukrowski

Z mojej niedawnej nader krótkiej wycieczki „na zachód” przywiózłem sporo prasy zagranicznej. Jednym z najbardziej frapujących egzemplarzy tej prasy jest numer „Daily Express” z olbrzymią fotografią wybuchu bomby wodorowej w Eniwetok na pierwszej stronie i z rozczulającym podpisem pod tym koszmarnym zdjęciem: „Parasolka śmierci otworzyła się”. (An umbrella of death is appened). Zaraz obok tej fotografii i artykułu o skutkach wybuchu widnieje wiadomość o najnowszym rozwodzie jednej z gwiazd hollywoodzkich, u nas nie znanej nawet z imienia, egzotycznej Cacy Gabo.

Inne znowuż pismo tygodniowe, przynosi na pierwszej stronie olbrzymie zdjęcie pięknej Rity Hayworth pokazującej swój dekolt. Obok w czarnej ramce pytanie: czy można się uchronić od bomby wodorowej? Samo to zestawienie zagadnień i obrazów musi budzić w bezstronnie opowiadającym te zjawiska widzu — zaniepokojenie i odruch niechęci. Nie zrażajmy się jednak sensacyjnymi tytułami prasy.

Niepokój zachodni wobec zagadnień pokoju i wojny jest o wiele głębszy niż by to nam chciały wmówić brukowe gazety. Zestawienie wybuchu bomby wodorowej na atolu Eniwetok (dziś już nie istniejącym) z blaskami gwiazd filmowych nie oszuka nikogo nawet na zachodzie, a tym bardziej u nas. Romanse hollywoodzkie nie stłumią wielkiego lęku, jaki odczuwają społeczeństwa państw zachodnich, nie zlagodzą dreszczu przerażenia szerokich mas, które spostrzegły do czego prowadzi źle użyta zdobycz wiedzy, cywilizacja bez kultury. Nie zdławia one jednocześnie niepokój, który odczuwają najlepsi synowie narodów europejskich i amerykańskich patrząc na rozwój swych spo-

łeczeństw, a raczej na marazm tych społeczeństw, grzęznących w czczych sporach i w bezideowości — w momencie, kiedy ludzkość powinna się czuć zagrożona w samym swym istnieniu. Niestety, myśl owych najlepszych nie wychodzi poza ukazanie pewnych symptomów — nie wskazując lekarstwa. Bardzo powoli dojrzewa świadomość środków i dróg, które prowadzą do zapewnienia pokoju na ziemi. Rodzą się ruchy patriotyczne — skupiające w sobie przedstawicieli najróżnorodniejszych kierunków myślowych, ludzi rozmaitych przekonań. Nim jednak one zwyciężą jesteśmy świadkami trwogi i pomieszania umysłów.

Dowodem istnienia tej trwogi, a zarazem troski ludzi myślących o jej pokonaniu, szukania jej źródeł jest film tyle we Francji okrzyczany, noszący tytuł „W przeddzień potopu” (Avant le déluge). Jest to jedno z najdonioślejszych dzieł filmowych ostatniego roku — i tak też było ono ocenione na festiwalu w Cannes.

Dla mnie to dzieło filmowe było nie tylko poważnym przeżyciem artystycznym, ale niezmiernie dużo dało do myślenia o ogólnym stanie umysłów na zachodzie. Film reżyserowany jest przez Cayatte'a, jego też jest scenariusz zrobiony przy wybitnym współudziale Spaaka, Belg, rodzzonego brata belgijskiego męża stanu. Tym samym film ten odbija nastroje nie tylko francuskie — ale w ogóle całej „tamtej” części naszego starego kontynentu. Treść tego filmu zrodziła się również ze skonstruowania faktu istnienia silnej psychozy wojennej w państwach kapitalistycznych. Psychozy, bynajmniej nie powstałej po ostatnich próbach z bombą wodorową — gdyż napisanie scenariusza, zrobienie takiego filmu musiało zająć co

najmniej pół roku pracy a zajęto na pewno znacznie więcej czasu.

„W przeddzień potopu” jest filmem o młodości i jest jakby francuskim odpowiednikiem naszej „Piątki z ulicy Barskiej”. Zaczyna się nawet zupełnie tak samo — od sceny sądu i od ukazania ławy oskarżonych, na której siedzi trzech siedemnastoletnich chłopców i jeszcze młodszą od nich dziewczyną — nawiasem mówiąc mający daleko więcej młodości w sobie niż bohaterowie naszej „Piątki”. Ale tutaj kończy się podobieństwo między tymi dwoma filmami. Nasze dzieci spadły do rządu pospolitych przestępców na skutek minionej wojny — dzieci francuskie pokazane w „Avant le déluge” popełniają szereg przestępstw ze strachu przed przyszłą wojną, tym strasznym potopem, który może zniżyć z powierzchni świata nie tylko żyjące owego młodego pokolenia, ale w ogóle całe życie.

Jednocześnie tego samego dnia, co oglądałem „Avant le déluge” — wpadł mi w rękę numer Times'a zawierający cały szereg „listów do redakcji” poruszających kwestię bomby wodorowej. Między innymi znalazłem tam krótki listek pewnego nauczyciela, który opowiada, że kiedy zapytał swojego ucznia, jedenastoletniego chłopca, czym chce być, gdy dorośnie, otrzymał następującą odpowiedź: „Po co mam się zastanawiać czym będę, gdy dorośnie, kiedy gdy dorośnie w ogóle już nic nie będzie...”

Dzieci z „Avant le déluge” powołując strach wojny gorącej i straszliwe znużenie wojną „zimną”, która im nie zostawia ani chwili wolnej od niepokojących zagadnień, stawiających pod znakiem zapytania całą ich przyszłość.

Niedawno wielki kompozytor francuski Honneger w swojej książeczce „Jestem kompozytorem” powiedział te słowa: „Należy otworzyć oczy i patrzeć na śmierć naszej kultury muzycznej, która i tak tylko nieznacznie wyprzedzi koniec całej naszej kultury...” Widzimy więc, że zarówno jedenastoletni chłopak, przed którym rozściła się całe życie jak i wielki kompozytor mogą mieć oparcie w swej potężnej twórczości, ulegają jednakowej psychozie strachu. Cóż dopiero przeciętne dzieciaki z „Avant le déluge” — nieszcześliwe w życiu osobistym, mające złych, egoistycznych, przesądnych, zgangrenowanych kapitalizmem rodziców. Nie znajdują one żadnego oparcia ani w rozkładającej się rodzinie, ani w upadającym społeczeństwie. Wstrząsająca jest scena, kiedy siedemnastoletni Filip pragnie wyznać wszystko, wszystkie popełnione zbrodnie matce i szuka u niej ratunku — a matka załana łzami, bo ją porzucił kochanek, nie wpuszcza go do pokoju. Filip odchodzi do nowej — najstraszliwszej zbrodni, zabójstwa przyjaciela, obciążonego tym zasadniczym grzechem: jest Żydem. Bo i pozostałości nazistowskich swądów tkwią w tym przerażającym społeczeństwie.

To wielkie „accuse” filmowe nie ukazuje wyjścia z tej ciasnoty, z tej dusznej atmosfery. Rozmawiałem niedawno z pewnym pracownikiem na polu pedagogiki w jednym z państw Europy zachodniej. Mówił mi, że właściwie jedynym marzeniem młodości, którą się opiekuje, uczniów szkół średnich, jest ucieczka z Europy, która wydaje się im — wbrew oczywistości — najbardziej zagrożona. Utworzono specjalne terminy na oznaczenie tej ucieczki i jej celu. „Portez!” — jest na ustach chłopców i dziewcząt. A dokąd? „Vers les îles”. — Na wyspy

(Dokończenie na str. 2)

NAZIM HIKMET PASTUCH ALI

Pozdrowienia wam przesyła

mój rodak, mały Ali,
który pasie owce w zielonych górach.
Ali nie ma

ani skrawka ziemi
ani jednej owcy

nie ma.

Jego oczy czarne, czarne jak czarny bursztyn
Widział

jak bił ojca żandarm wąsaty,
i jak brat na gruźlicę umierał.

Jego oczy czarne, czarne jak czarny bursztyn
nie widziały jak wygląda zeszyt,

nie widziały jak wygląda książka

nie widziały

uśmiechu matki.

Jego dwie ogorzałe ręce
jak korzenie zgrubiały

przez trzynaście lat jego życia.

Nie dotykały wesołej piłki
nie dotykały nowych butów

nie dotykały

białego chleba z żyta.

Jego dwie ogorzałe ręce
dotykały

łochu, kamieni i cierni.

Jego serce

rok po roku —

Szczęścia

takiego jak wasze

1952

czeka wiernie.

Tłum. z rosyjskiego Ewa Fiszer

CLAUDE MORGAN

Wiosna w Paryżu

Na nadsekwanskich bulwarach wybucha wiosna. Pomiędzy Pont des Arts a Pont Neuf panuje w przerwie obiadowej niezwykłe ożywienie pełne jakiejś wiosennej nonszalanckiej. U stóp wysokiej, szlachetnej sylwetki Luwru robotnicy z magazynów „Samaritaine” w kombinacjach roboczych łowią ryby. Nie tylko zresztą oni, choć ich pierwszych dostrzegam z Pont des Arts, tego cichego mostu, którego niesposób przemierzyć inaczej jak pieszo i który wisi nad Sekwaną w jej najbardziej uroczym miejscu. Studentki siedzące na jego ławkach pozbawionych oparcia wystawiają twarze ku słońcu. Nad rzeką, wzdłuż obudów bulwarów i dalej, całego wybrzeża wyspy Vert-Galant, ciągnie się długi szereg rybaków i rybaczek. Gdy któryś wyszarpanej płotki, gapie dzieciakami schodzą się ją oglądać. Inni, którzy nie łowią ryb, przysili tu zjeść śniadanie — kanapki czy rogaliki — i siedzą nad brzegiem wody machając leniwie nogami. Wolnym krokiem przechadzają się pary zakochanych. Mały, rudy spaniel skacze i szczeka zadając, ożywiają kolorową nutką ten spokojny pejzaż. Z lewego brzegu na prawy wieje ostry wiatr i wzniesia na gładkiej powierzchni wody fale, które podmywają nogi spacerowiczów w pewnym przejściu, gdzie obchodząc schodki trzeba zejść tuż nad wodę. Woda jest brudna, mętna, niesie mnóstwo śmieci. Ale jej drobne fale lśnią w wiosennym słońcu i ich szmer jest taki przyjemny! Przecież to w końcu prawdziwe fale. Przestrzeń, wiatr i słońce, odnalezione słońce wiosny!

Zakochani, marzyciele, szperacze, ciekawscy snują się wolno jak we śnie przed wystawami bukinistów na bulwarze i za plecami rybaków tuż nad brzegiem. Pod kolumnadą Perraulta śpią na słomie nędzarze. Nieopodal są Hale Targowe, gdzie w nocy ciężko pracują.

Patrzę na Luwr, Notre-Dame, la Cité, tak wzruszające w tym delikatnym, srebrzystym oświetleniu, w tej przejrzystej aureoli ledwie kielkującej zieleni, która zawisa nad drzewami. I patrzę na tych prostych ludzi, jak używają podczas przerwy obiadowej prostego, dostępnego im szczęścia. Głęboko odczuwam spokojną słodycz Paryża.

*

Nie należałoby jednak sądzić pochopnie, widok ten jest złudny. Takie i podobne sceny można było także oglądać w dnach poprzedzających powstanie w kwietniu 1944 roku. Kto ulega wrażeniu tej urzekającej słodyczy, z trudnością dostrzeżąc prawdziwe cierpienia i walki Paryża.

A przecież to ten sam Paryż, w którym co wieczór, w najróżniejszych dzielnicach miasta, mężczyźni i kobiety, niezmordowanie jak mrówki chodzą od ulicy do ulicy, od

* Samaritaine — wielki dom towarowy w Paryżu.

domu do domu zbierając podpisy przeciwko Europejskiej Wspólnocie Obronnej. Ta ich niewiedząca z pozoru praca podwala w końcu olbrzymią większość narodu do walki w obronie swej suwerenności.

A przecież to ten sam Paryż, w którym — jednomyślnie — studenci i profesorowie manifestują przeciw obniżeniu budżetu Ministerstwa Oświaty. Ten sam Paryż, który burzy się przeciwko wojnie prowadzonej w Wietnamie. Paryż o rozlicznych twarzach. Paryż zawsze wierny sobie, Paryż ze swą nędzą, ze swymi tragediami. Tej zimy, dlatego, że nie zaprzestano wojny indochińskiej, starcy i dzieci umierali z zimna w swych nieogrzewanych norach. A Cayatte w sposób wstrząsający pokazał w swym oskarżycielskim filmie „W przeddzień potopu” ogrom zniszczeń, jakie powoduje wśród młodzieży kulturowanie psychozy wojennej i rozpaczliwa świadomość bezwyścio-wości tego życia. Film ten zaliczyć można do najlepszych filmów francuskich, mimo, że nie jest pozbawiony błędów (m. in., gdy usiłuje wskazać winnych tego stanu rzeczy i wskazuje na... rodziców).

Ten sam Paryż, w którym cudzoziemscy żołnierze — którzy, nawiasem mówiąc, starają się coraz mniej rzucać w oczy — przechodzą pośród obojętnego, nie widzącego ich tłumu. Paryż pracowity, Paryż, którego mieszkańcy potrafią i ubrać się i żyć... z niego. Paryż, miasto dumne, które nie zgodzi się być ani spłamionym, ani sprzedanym. Ciekawe miasto, w którym bez przerwy pulsuje jakiś wewnętrzny, utajony nurt.

*

Tegoroczna wiosna paryska jest wiosną wymiany kulturalnej. Najpierw przyjazd wielkich artystów radzieckich. A teraz, podczas gdy Moskwa przyjmuje Komedie Francuską, Paryż czeka na Balet Moskiewski. Bilety, gdy tylko zacznie się przedpremierę, będą wykupione w przeciągu paru godzin.

Ta zmiana atmosferyczna wymuszona — choć nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę — przez nacisk narodów, a przede wszystkim przez mrówczą działalność obrońców pokoju jest wielką sensacją dla Paryżan. Lud paryski pragnie oglądać, słuchać, czytać, i omawiać arcydzieła sztuki innych narodów, wszystkich narodów, bez żadnej dyskryminacji.

Tym, którzy przywożą mu swoje bogactwa ofiarowuje on w zamian swoje — jak na przykład wspaniały dorobek swego Narodowego Teatru Ludowego (T.N.P.), który właśnie zdobył się na nową inscenizację i interpretację — najlepszą z dotychczasowych we Francji — sztuk Shakespeare’a i Wiktora Hugo. Paryż zrobi wszystko, aby wiosną wymiany kulturalnej — wymiany szacunku, podziwu i przyjaźni — zapanała na stałe.

Claude Morgan

PABLO NERUDA

DO DRZEWA

Poznaję tylekroć i znów rozpoznaję pośród wszystkich rzeczy drzewo — największy przyjaciel — i poprzez świat niosę w mym ciebie i szatach zapach leśnych poręb, woń płaszczyzn czerwonych, me serce i myśli, co się nasyciły za dziecinnych lat drzewami padłymi lasami pełnymi budowlą przyszłości — słyszałem: rąbano modrzewie olbrzymie, laurowe drzewa czterdziestometrowe, i pas i siekiera małego drwała dziobały tak szybko wyniosłą kolumnę — człowiek wygrał, zwał kolumnę zapachu — drżała ziemia, czarno płakały korzenie i zagrzmiota głucho, wtedy właśnie fala leśnego zapachu myśli me zalała — ziemia mglistą, w dali, w lasach na południu, wśród wonnych, zielonych tych archipelagów, w dali, ze mną razem rodziły się krokwie,

uśpione, potężne, żelazu podobne, oto są płaszczyzny cienkie i dzwiczące — a największy przyjaciel — i poprzez świat niosę w mym ciebie i szatach zapach leśnych poręb, woń płaszczyzn czerwonych, me serce i myśli, co się nasyciły za dziecinnych lat drzewami padłymi lasami pełnymi budowlą przyszłości — słyszałem: rąbano modrzewie olbrzymie, laurowe drzewa czterdziestometrowe, i pas i siekiera małego drwała dziobały tak szybko wyniosłą kolumnę — człowiek wygrał, zwał kolumnę zapachu — drżała ziemia, czarno płakały korzenie i zagrzmiota głucho, wtedy właśnie fala leśnego zapachu myśli me zalała — ziemia mglistą, w dali, w lasach na południu, wśród wonnych, zielonych tych archipelagów, w dali, ze mną razem rodziły się krokwie,

Ja znam cię i kocham, jak rodzisz się, widzę, o drzewo. Dlatego gdy tylko cię dotknę, ty mi odpowiadasz jak ciało kochańce, ty mi pokazujesz twe oczy i włókna, gałęzie i sęki, twe fladry jak rzeki bez ruchu — ja jestem z tych, którzy śpiewają jak wiatr. Noc słyszę burzliwą, galop konia w lesie, dotykam cię, stajesz przede mną otworem, jak róża uschnięta, która tylko dla mnie na nowo odżywa — daj mi woń i ogień, co martwe się zdają, i pod malowidłem komórki twe czuję, płomienie stłumione i słucham cię, czując, jak drzewa dygoczą, te, które cień dały mojemu dzieciństwu. I widzę, że z ciebie, jak z fal oceanu, z gołębi,

powstają skrzydła książek, papier poranka, ten papier czysty dla człowieka czystego, człowieka, który będzie jutro, który dziś się rodzi — pośród świstu piły, wśród światła bezwstydu, wśród dźwięku i krwi: to czasu, poręba — las ciemny upada i ciemny się rodzi człowiek, liść ciemny upada i grom nas uciska, a wtedy mówimy o śmierci, o życiu, jak skrzydce się wznosi ten śpiew i ten szloch siekiery wśród lasu, tak rodzi się drzewo, by przez świat przebiegać, aby budowniczym milczącym pozostać, przez stal rozcinanym, przez stal przewierconym, ażeby ochraniać i cierpiąc budować mieszkania, gdzie co dzień spotykać się będą mężczyźna ko-

i życie.

przełożył Lech Pijanowski

STEFAN KOS

Kto się kogo boi?

ciej, tyle a tyle nieuleczalnych zaburzeń we wszystkich żywych organizmach. Teoretyczne zachęty uzupełnia fakt „poboczny”: Śmierci i ciężkim obrażeniem uległo 60 rybaków z japońskiej flotyli kuterów dalekomorskich, które znalazły się przypadkowo w strefie objętej działaniem radioaktywnego pyłu. W Japonii zaś, skoro opinia publiczna dowiedziała się z prasy o tym, iż na rynku znalazła się pewna ilość ryb „radioaktywnych” — przywiezionych z rejonu działań bomb, zanotowano wiele wypadków śmierci głodowej wśród ubogich rodzin, odżywiających się przetrwałymi rybami — nikt bowiem ryb jeść nie chciał.

Po co była potrzebna ta amerykańska reklama?

Strach jest jednym z najpoważniejszych motorów psychicznego życia człowieka. Uczeń napisał na ten temat całe tomy, literaci dobili na tym temacie do laurowych przystani międzynarodowych nagród.

Strach stanowi dziwne zjawisko. Nic o nim pewnego nie wiadomo. To jak galareta, to znów jak stal damasceńska. Że ze strachu można zostać bohaterem, dowiódł nie raz dzielny wojak Szwejk,

Stanom Zjednoczonym udało się tak dobrze przestraszyć niektórych ze swoich sojuszników, że ci na serio zaczęli bać się — amerykańskiego dyktatu. I oto okres od konferencji berlińskiej do konferencji genewskiej wypełniła istna lawina deklaracji, protestów i sprzeciwów przeciw agresywnej polityce Dullesa. Bohaterami tych wytypień są coraz to nowi burżuazyjni politycy, a nawet (o zgrozo!) tzw. mężowie stanu.

Julin, Auriol, Bevan. Stare, wytrawne wygi parlamentarne, orientując się w nastrojach społeczeństwa, rąbią wprost: „Jeżeli pan Dulles będzie nalegał, trzeba powiedzieć Ameryce — idźcie sami!” (zdanie Bevana z głosem artykułu w „Tribune”). O ileś lat wcześniej było politykom USA przed rokiem! Wystarczył straszak komunistyczny i podział świata wykreślony równą płaszczyzną żelaznej kurtyny. A teraz?

A teraz pan Dulles musi się czuć podobnie jak premier z „Buntu Aniołów” France’a, który po odkryciu przez policję antypanstwo-wego spisku, wezwał do siebie prowadzącego śledztwo sędziego i tak krzyknął: „Przecież powiedziałem dość wyraźnie, iż oczekuję, aby spisek był antysocjalny, na wskroś antyrządowy z uduśnieniem syndykalistycznym. A pan co z tego zrobił? Kogo pan aresztował? Spiewaczkę uwielbianą przez nacjonalistyczną publiczność i syna człowieka wysoko cenionego w partii klerikalnej!” Gdyby Bevan był krwiozerczym komunistą a De Gaulle — czerwonym generałem chińskim, pan Dulles miałby moralny spokój i nie musiałby w czas pięknej wiosennej pogody tak świetnie nadającą się do weekendów i eksperymentów z bronią atomową najpierw kręcić się bez ustanku po Europie i Azji udzielając dobrych rad i dyktam, zwolniamy separatystycznych narad, a wreszcie z bólem serca zasiąść przy długim stole Pałacu Narodów w Genewie.

Czego może bać się pan Dulles?

W Stanach Zjednoczonych, mimo (a może właśnie dlatego) że w kraju tym mieszkańcy Azji stali zawsze na najniższym szczeblu oficjalnej hierarchii społecznej — narodziła się teoria „złotego niebezpieczeństwa”. Zetknięcie się z niebezpieczeństwem może wywołać w człowieku ciężkie, przynajmniej uczucie o charakterze astenicznym; uczucie to nazywa się strachem. Strach osłabia w człowieku siły fizyczne i umysłowe, przylumia jego życie psychiczne. Jednakże zetknięcie się z niebezpieczeństwem wywołać może również uczucie steniczne, uczucie podniecenia bojowego. Tak naucza podrecznik psychologii B. Tiejlowa na str. 86.

Portret Dullesa na konferencji genewskiej zgadza się co do jedy z podrecznikiem psychologii. Raz „osłabione siły umysłowe, beznadziejność”, to znów „uczucie podniecenia bojowego”. I nic w tym dziwnego. Konferencja bowiem w czasie której Dulles siedzieć musi przy jednym stole z przedstawicielem nowego wielkiego mocarstwa Azji — Chin Ludowych, to tak jak koszmarny sen. Sni się Dullesowi, że złoty boy hotelowy z „Ekselsoru” sumiennie czyszczący mu dotąd buty, zaczyna rosnąć, rosnąć, olbrzymieje, wyciąga ku niemu przyjaźnie silną rękę i... tu pan Dulles budzi się i patrzy na swoje buty. Czy oczyszczono?

Na konferencji każdy gest ministrów jest pilnie śledzony przez reporterów. Reporterzy z każdym szczegółem biegają do telefonicznych kabin. „mr. Dulles opuścił wzrok” — biegnie wiadomość po drutach przez wszystkie kontynenty, a w najpoważniejszym dzienniku paryskim ukazuje się złośliwa notka: „Pan

Dulles nie może mieć przez cały czas konferencji zamkniętych oczu. A gdy jej otwiera choćby na chwilę za każdym razem widzi Czou-En laia” („Le Monde”).

Niebezpieczeństwo, które grozi Dullesowi w Genewie mieści się już w samym fakcie dostrzeżenia ignorowanego dotąd nowego oblicza Azji. To nie jest już brukowe „złote niebezpieczeństwo” wymyślone przez jego rodaków na początku XX wieku w celu uzyskania ulg podatkowych przy bohaterskiej pracy handlu narkotykami przeznaczonymi dla Azji. Jest to niebezpieczeństwo młodych narodów, które niedawno uzyskały niepodległość i nie chcą jej stracić. Niebezpieczeństwo długiej pamięci. Pamięci o niewoli. Niebezpieczeństwo dobrej pamięci. Pamięci naczynych świadków dwóch ostatnich, najbardziej krwawych i brutalnych wojen kolonialnych.

Kraje Azji chcą pokoju.

Pan Dulles opuszcza oczy, nie chce widzieć Czou-En laia. Czuję się niepewnie.

Stąd jego „podniecenie bojowe”, które podrecznik psychologii wywodzi z uczucia strachu.

Tego dnia, kiedy zaczęła się w Genewie konferencja ministrów spraw zagranicznych, boński minister spraw wojskowych Blank oświadczył, że armia zachodnio-niemiecka składać się będzie z 500 tys. ludzi i posiadać będzie 1500 czołgów i 1800 samolotów. Już w najbliższych miesiącach — mówił z dumą minister — powołam pod broń 150 tys. starych, zawodowych oficerów i podoficerów... a mówiąc to patrzył na wschód, w stronę polskiej granicy. Cóż, ci starzy oficerowie i podoficerowie, „kadra instruktorska”, jak ich nazywa Blank, to starzy nasi znajomi.

Takich znajomych nie zapomina się łatwo.

Tego dnia, kiedy lekarze japońscy badający rybaków z flotyli „Fukina Maru”, która znalazła się w rejonie działań pyłu radioaktywnego po wybuchu amerykańskiej bomby wodorowej na Pacyfiku, oświadczyli, że medycyna jest prawie beznadziejna wobec niszczącego organizm ludzki działania elementów radioaktywnych, tenże boński minister wojny Blank zażądał od Dullesa broni atomowej dla Wehrmachtu.

Można zgodzić się z lekarzami japońskimi. Medycyna jest być może beznadziejna jeszcze. Ale z Herr Blankiem zgodzić się nie możemy. I na pewno w tym względzie — nie jesteśmy beznadziejni.

Tego dnia, kiedy rozpoczynała się w Genewie konferencja mocarstw w sprawie uregulowania niektórych spraw spornych na terenie Azji, zbiegły się ze sobą dziwnie podobne w tonie wypowiedzi Syghmana Rhee i Blanka. Siwy staruszek, mający na swym sumieniu tysiące niewinnych ofiar, „prezydent” północnej Korei przesłał na ręce Kongresu USA protest przeciw konferencji genewskiej i zażądał natychmiastowego wznowienia działań wojennych przeciw Koreańskiej Republice Demokratycznej. Korea Południowa i Niemcy zachodnie — to jedno.

O tym powinien każdy z nas pamiętać, kiedy czyta wiadomości z Genewy. O tym myśli murarz stawiający nową cegłę na czerwonych murach kolosa naszego pokojowego budownictwa — Nowej Huty. Nie ominię ta myśl poety. Będzie krzyżem czerwienią transparentów na pierwszomajowej manifestacji.

Pokój w Polsce, pokój w Korei i Indochinach — to jedna i ta sama wielka sprawa.

Każdy z nas jest na sali obrad w Genewie.

Każdego z nas boi się pan Dulles.

Stefan Kos

„W przeddzień potopu”

(Dokończenie ze str. 1)

py! Bzmiś to jak z romansu Bernardin de Saint-Pierre’a — ale niedarmo chłopcy z filmu „W przeddzień potopu” zamykają się całymi godzinami w zaciemnionych pokojach, aby oglądać filmy z wysp Oceanu „Spokojnego” i słuchać hawajskich melodii.

Pomimo 129 zarzutów jakie skierował pod adresem filmu Forda Zygmunt Kałuziński — i z których większość jest całkiem słuszną i ma rację i nogi — olbrzymia różnica problematyki, jaką poruszają ten sam temat przeciwstawia on filmowi francuskiemu — stanowi zasadniczą jego wartość.

Czy nasi chłopcy całują się na początek czy na koniec miłości, czy tak u nas wygląda bal sylwestrowy (patrz Kroniki Filmowe, gdzie nam pokazano w Gdyni, w Stalinogrodzie, w Warszawie jednocześnie się „Piłką” żalosne, ubogie, smutne a prawdziwie zabawy karnawałowej) — czy to są „dzieci ulicy”, te okazałe byczki w wieku około lat trzydziestu, — są to wszystkie pytania drugorzędne. Najważniejsze jest to, że „Piłką” ukazuje perspektywę dla tej młodzieży i nie kończy się jak „Avant le déluge” sentymentalną, ohydłą sceną miłosną z kajdanami na namiętnościach.

Świat nasz ma trudności, ma bardzo wielkie trudności, na każdym kroku natykamy się na nasze błędy i pomyłki. Trudne jest budować i odbudowywać trudno pracować a na wytchnienie mieć posiedzenia, zebrania i konferencje. Nasze życie nie jest idyllą — jest trudne i ubogie. Cóż za kontrast z „prosperity”

Jarosław Iwaszkiewicz

I
 "o pan go także nie zna? — A skąd! — uśmiechnął się szatniarz łagodnie. — Tyle ich tu przychodzi na basen, kto by spamiętał! A on tak, po prostu zajrzał do szatni i powiada: „Tam na balkonie siedzi czterech facetów bez marynarek i trzęsą się z zimna. A dwóch to ruscy; może goście? Wziąłbyś pan — powiada — ze cztery szlafroki. Niech by się zawinęli, póki burza nie przeleci...” Proszę, niech się panowie troszkę okryją... Teraz żaden zawodnik nie przyjdzie, na taką pogodę. A choćby nawet, to każdy jeden się ucieszy, że jego płaszczem...” W ogólności...

I wyciągnął ku nam naręcze zielonych, frotowych płaszczy w czarne i białe pasy.

— No, proszę, proszę — nalegał otulając Kostię starannie. — Towarzysz drobniutki, to łatwo złapie katar. Trzeba i pasek zawiązać. Obowiązkowo zawiązać! Towarzysze z Pałacu?

— I z fabryki samochodów — odpowiedział Kostia, zmieszany, płacząc końce sznura w jakiś koszmarny węzeł. — Niczewo, Niczewo... Spasiba...

— To na razie, na razie... — żegnał się szatniarz spiesząc do swojej roboty. — Taka burza; skąd to się wzięło? A tamtego to nie znam, nie wiem nawet, czy Józek czy Maniek...

Chłopak, który przysłał nam szatniarza z płaszczami, był już na ulicy. Poprzez strugi równego deszczu widzieliśmy go niby przez wielki grzebień. Owinięty w coś gumowego, błyszczącego, oddalał się szybkim krokiem. Na chwilę zrobiło się jasno, jakby ktoś dmuchnął męką; potem błyskawica zagasiła i deszcz się jeszcze bardziej rozjuszył.

— Czasem tak jakoś głupio wypada — powiedział Kostia w rozdrażnieniu. — Przejdzie koło ciebie człowiek, coś was na chwilę połączy, a potem, zanim to zrozumiesz, już tamtego człowieka nie ma: wyszedł na ulicę. I nigdy się nie spotkacie... Jak mówił tamten dziadka: nawet się nie dowiesz, czy Józek, czy Maniek...

Urwał. Spojrzałem nań pytająco, ale on tego, na szczęście, nie zauważył. Siedział lekko zgąrbiony, z podbródkiem wcisniętym między objętych i patrzył na bramę.

Szatniarz miał rację: Kostia, choć metalowicę, był rzeczywiście drobny i jakby kruchutki. Przez sekundę miałem nawet ochotę poradzić mu, żeby odsunął się dalej od poręczy balkonu, bo tam, gdzie siedział, opryskiwały go skośne strugi wody. Ale nie odezwałem się w obawie, że go spłoszę. Czulem niejako, że coś się Kostii przypominało i tylko milczeniem możemy go zachęcić do mówienia.

To samo musiał odczuwać i Arkasza, kościśty, przydługi inżynier, który właśnie zamierzał poczęstować wszystkich „kazbekami”; teraz jednak, po krótkim wahaniu, wyjął papierosa tylko dla siebie, a pudełko położył na stoliku.

O Staszka byłem spokojny: ten świętokrzyski milczek o wyglądzie stolarskiej całowki nigdy się, nie pytany, z niczym nie wyperwał. Poznał zresztą Rosjan dopiero przed chwilą, co wzmagalo jego wrodzoną powściągliwość. Tkwił więc neruchomo w trzcinowym fotelu, zachowując tę samą pozę, w jakiej go tu zastaliśmy: lewa ręka w kieszeni, prawa na kolanie, stopy równo jedna przy drugiej i oczy z uwagą skierowane w stronę gości.

Kostia, rzućwysz wzrokiem na niebo, upewnił się, że burzy dla niego wystarczą.

— Nieraz tak bywa — powiedział — że wlażysz po ciemnych schodach i ktoś ci poświeci zapalką. Chciałbyś mu podziękować, zobaczyć, jak wygląda, ale jemu gdzieś się śpieszyło — poświecił i odszedł...

II
 „Przeżyłem taką historię że sześć lat temu, dokładnie mówiąc — na początku roku czterdziestego ósmego. Trzymały wtedy ostre mrozy i hulała śnieżycą. Koło dziesiątej wieczorem ktoś zapukał do drzwi. Otworzyłem. Stało za nimi wielkie chłopisko, większe chyba od Arkaszy, metr dziewięćdziesiąt, może nawet ciut więcej, a wszystko to od czubków buta aż po wierzchołek czapki oblepione śniegiem.

Nie miałem wątpliwości, że chodzi mu właśnie o mnie. Dziesięć lat wcześniej ogłoszono w prasie opis moich metod obróbki metali skrawaniem i od tego czasu nieustannie dręczyli mnie fotoreporterzy, radiowcy i literaci. Początkowo więc wzięłam go za jednego z nich. Pracowałem wtedy w dużych zakładach moskiewskich jako tokarz. Na moim oddziale obrabiano koła zębate, nakrętki, tuleje przelącznikowe i podobne przedmioty, do których używa się torebek z trzpieniami rozpęgniętymi. Moja metoda miała duże znaczenie nie tylko dla naszych zakładów, ale i dla innych placówek w całym przemysie metalowym. Najkrócej mówiąc chodziło o pewien problem z zakresu pracy węglikami spiekanyimi przy kątach natarcia zero, a nawet niewielkich kątach ujemnych. Dzisiaj jest to już rzecz powszechnie znana ale wtedy była to jeszcze rewelacja. A za jeszcze większą rewelację wszyscy uważali mój wiek: osiemnaście lat. Osiemnaście!...

„Wieczorna Moskwa” dała całą kolumnę z moją fotografią, życiorysem i opiniami fachowców. W czterdzieści osiem godzin później, po wielkiej naradzie w jednym z instytutów naukowych, zarys metali, o której mówiłem, ukazał się w „Prawdzie”. Na drugi dzień moje nazwisko znalazło się na szpal-

tach pism we wszystkich szesnastu republikach związkowych.

Stanąłem przed największą próbą w życiu: talent już miałem wyróżniony jak należy, ale charakter był na mnie jeszcze o jakie dwa numery za mały... I wówczas przyszedł tamten.

Przypominam sobie nawet dokładnie, co powiedziałem, otwierając mu drzwi:

— Proszę, proszę, towarzyszu! A że ze śniegiem? Nic nie szkodzi. Proszę dalej! — A zawolałem to przyjaźnie, wyrażając równocześnie oczy, żeby w półmroku klatki schodowej zobaczyć, czy ma ze sobą kamerę, oczekiwałem bowiem wizyty filmowców. — Może zrobimy herbatki, rozgrzejecie się, bo na pewno niekiedy przemarzłicie?... Proszę dalej!

Ale kiedy tamten skorzystał z zaproszenia i znalazł się w kręgu mocnego światła, moja wylewność znacznie opadła. Przybył nie mógł być filmowcem. Trudno też było spodziewać się, aby mógł o mnie cokolwiek napisać. Miałem przed sobą człowieka w baranym kożuchu, spiętym w pasie rzemieniem, człowieka o szerokiej, chłopskiej twarzy, z grubymi kośćmi policzkowymi i wąsami, zmienionymi w dwa sople koloru blond.

— Konstantin Siergiejewicz? — zapytał, przypatrując mi się uważnie.

— No tak — mruknąłem kwaśno, trochę zawiedziony. — Wy po jakiej linii?

— Może przeszkadzam? — powiedział tamten jakoś tak surowo i poważnie, że od razu poczułem: to nie formułka, ten człowiek naprawdę chce wiedzieć, czy nie zjawił się w nieodpowiednim czasie. I dodał: — Wzieliście mnie za kogoś innego. Może lepiej przyjdź za godzinę.

— Ostatecznie wszystko jedno.

— Znaczą się, nie przeszkadzam?

Ściągnął wielkie, skórzane rękawice i podał mi dłoń, po której od razu poznałem metalowca: dłoń pokaleczoną przez wióry, o skórze nasiąkniętej olejem rzepakowym. Przedstawił mi się wprawdzie, ale zrobił to niewyraźnie; dosłyszałem tylko, że ma na imię Iwan. Gdybym go poprosił o powtórzenie nazwiska, z pewnością zrobiłby to bez zdziwienia, ale coś mnie mogło obchodzić jego nazwisko.

— A co do linii, to ja po własnej, po Waniuszyniej — powiedział mrużąc oczy. — Jestem tokarz. Nazywają mnie zwyczajnie: Waniusza. A przyjechałem do was z Uralu.

— No cóż, ściąganie kożuch. Zaraz wam wszystko wyjaśnię. — Podszedłem do biurka, gdzie piętrzył się stos broszurek z opisem mojej metody, wydrukowanych poprzedniego dnia przez wydawnictwo związkowe. Z broszurą w ręce zwróciłem się do Iwana: — Cała rzecz jest naprawdę prosta. Nurtowało to w masach od dawna... Wpaść na to mógł dosłownie każdy...

— Kiedy ja...

— I wy, towarzyszu, i wy także! Głowę daj! Zresztą zaraz wam szczegółowo opowiem — przerwałem mu w pół zdania. Mogłem sobie pozwolić na skromność. Mało tego, przez te dziesięć dni opracowałem sobie taką skromność, że ludzie nie potrafili słów dla niej znaleźć. Jak inni na gryppę, ja chorowałem na siebie, ale robiłem to umiejętnie, nikt po mnie tego nie widział. — Jesteście delegatem jakiejś fabryki? Związku? Kombi-natu?...

— No, przecież powiedziałem wam, tylko wyście nie słuchali, Konstantinie Siergiejewiczu! Przyjechałem wyłącznie w charakterze Waniuszy. — Rozłożył ręce, stojąc wciąż jeszcze w kożuchu, tyle, że rozpiętym. — I nic mi nie klarujecie. Bo ja, po pierwsze, wszystko czytałem w gazecie, a po drugie...

Po drugie, to ja też grzebałem się w tym samym. Kąty ostrza, schematy odkształcenia noża, stosunek do osi — o, właśnie, to samo. I tu się zaśmiał. Ale nie zabrzmiało to szczerze.

— Taak — uśmiechnąłem się i ja. — A tak.

— I nie wyszło?

— Czemu? Wyszło.

Opuściłem dłoń z broszurką.

— No, dobrze, to po co?... Aż z Uralu?... Jeżeli wyszło?...

Waniusza rzucił kożuch na krzesło i zaczął rękawem marynarki ocierać twarz, przytrzymując palcami brzeg rękawa. Znowu przymrużył oczy i powiedział:

— A o herbatce toście zapomnieli...

— Co tam herbatka! Znajdźcie się coś lepszego. Koniaku pozwolicie? Oryginalne węgierski „Lanchid”. To upominek od akademika Miedwiediewa, wicie, tego od technologii metali... Wrócił wczoraj z Budapesztu i mówi, że młodsze kole-dze... Znaczą się mnie... Z okazji usprawnienia...

Zakrzętnąłem się żywo, wydobylem butelkę, starając się równocześnie odsunąć łokciem gazetę, przykrywającą telegram z gratulacjami od robotników Leningradu. Mogłem być sobie nie wiadomo jaki skromny w stosunku do tych, którzy twierdzili, że dokonałem rzeczy genialnej. Ale nigdy w stosunku do tych, którzy dokonali tego samego!

— No, to na zdrowie! Wybaczyć, że was źle przyjąłem... Spodziewałem się kroniki filmowej. Robili mi już zdjęcia „produkcyjne”, przy maszynie, z proporczykiem, a dzisiaj zapowiedzieli się na „życie osobiste”. Myślałem, że to oni... Waniusza patrzył na mnie spod gęstych, mokrych brwi. Nagle sięgnął za pazucho i z dziwnym uśmiechem wyjął gazetę. Poznałem ją, była to ta sama „Prawda”, w której pisało o mnie i o narodzie w Instytucie. Tokarz odsunął ją na odległość ręki i przekrzykiwając glo-

wę, spoglądał to na mnie, to na moją podobiznę w dzienniku. Raz i drugi poruszył ramionami, jakby nie wierząc oczom.

Zrozumiałem go i z gniewu zasumiało mi w uszach. On kpił, ten Uralczyk! Jego zachowanie miało wyrażać mniej więcej tyle: „Czy to możliwe, żeby ten smarkacz i tamten racjonalizator stanowili jedną osobę?”

— Na zdrowie! — wrzasnąłem i wepchnąłem mu kieliszek do ręki.

— Na zdrowie!... A teraz gadaj, czego chcesz, towarzyszu!

Z chwilą, gdy przeschłimy na ty, jakby coś pękło w pokoju. Waniusza pochylił się i zapytał, patrząc dalej przed zmrużone rzęsy:

— Czy to prawda, że pracowałeś nad tym pięć miesięcy? —

— Nawet mniej!

— Nawet?

— A tak! Dodałem sobie trochę, żeby wyszło poważnie:

— Pięć miesięcy!... A przez te pięć miesięcy, to tak po ile godzin na dobę?

— Normalnie,

ALEKSANDER ŚCIBOR-RYLSKI

I W A N

— Eee...

— A żebyś wleździł, że normalnie! Czasem kombinowałem trochę na spacerach. Razem — z dziesięć godzin.

— Lekko ci szło, Konstantinie Siergiejewiczu! Lecutko!

— Ech! — zaśmiałem się okrutnie.

— A slyszales jak było z drgania-mi? Przed rokiem?

— Coś tam obito się o uszy.

— W dwa dni na to wpadłem! A na sam pomysł to w ogóle w jednej sekundzie. Dyrektor stanął przede mną. Popatrzyłem, czego mu oczy tak błyszczą? A to nie oczy, to żarówka się odbijała! Od razu pomyślałem: te drgania, to nie z mojej maszyny, to odbite, jak ta żarówka... I mówię: „Proszę uprzejmie wyłączyć tamtą strugarkę pod ścianą, bo ona tępi mi noże! To od niej idą drgania!” I co powiesz? Od niej szły, a tak!

— Zdolny jesteś, zdolny, zdolny!... — przeciągał Waniusza. — A wiesz ile czasu ja nad tym wszystkim siedziałem?

Podniósł się z krzesła i z trudnością hamując jakieś silne uczucie, wściekłość, czy rozżalenie, krzyczał przerywanymi zdaniem:

— Trzy lata!... W dzień i w noc!... Żebyś wiedział!... W łóżku leżę, wymyślam! Jem obiad, zupa na lżyce stygnie! Wódki nie piłem, żeby głowy nie psuę. Trzy lata... A już jestem po pięćdziesiątce! Nie dużo mam tych lat, nie dużo... Ty sobie w pięć miesięcy, bawileś się, w szachy grataś, w piłkę...

— Oczywiście.

— No, masz. A ja wszystko oddałem. I okazało się, że niepotrzebnie! Ty durny, obskurny wróbiu, ty nigdy tego nie zrozumiesz! Trzy lata na nic! Mogłem chodzić na ryby; mam wędkę z kołowrotkiem, błyszczkę, nylonowe żyłki; bardzo to wszystko lubię... Ty byś przecież i tak wymyślił. Wymyśliłbyś! I wymyślił! Zdolniejszy jesteś ode mnie, talent masz, i to prawdziwy!

— Zazdrościsz... — pokiwałem głową drwiąco. — Cóż, bez ryzyka tylko ptaki latają...

— Ech, ty... — zaczął Waniusza, ale ja się w to wmięszalem, napełniłem kieliszki i — na zdrowie!

On jednak, wypiwszy, powrócił do swego:

— Nasza fabryka daleko... Za Uralem... A ja się tam głowiłem nad

tym samym, co w Moskwie... Wszystko już kończyłem, rachunekki, rysunekki, kiedy przez radio nadali o tobie... Ech, i te trzy lata...

— To po coś się brał! — krzyknąłem. — Masz kłać, to się nie bierz! Mnie to idzie gładko, niby marynowany grzybek, ja to lubię, ja dla przyjemności, rozumiesz? Bez tego bym się nudził! A ty po coś zaczynał? I czego teraz głowę zawracasz? Chcesz się dzielić, czy jak?

— Och, nieuprzejmie, nieuprzejmie! — zawarczał Waniusza, ale w tych słowach i przytłumionym głosie wyczytałem wściekłość. — Specjalnie przejechałem z Uralu, łapę ci chciałem uściśnąć... A dlaczego? Właśnie dlatego, że mi tak żal tych trzech lat, że ci zazdrościsz, właśnie dlatego! Chciałem tak: daj łapę, zdolniejszy jesteś, ale to nie, wypijmy! A ty masz ziarno bobu, nie serce!

— Po coś się brał! — wrzeszczałem, potrząsając broszurką, którą cały czas ścisnąłem w palcach. — Po co?...

Waniusza wstał. Szukając czegoś za pazuchą, powiedział tak, jakby mnie zaszadzał na dożywocie:

— Ja po to, żeby lepiej było, żeby piękniej... Żeby szybciej komunizm zbudować... A ty wszystko wymyślasz dla siebie.

Znalazł wreszcie to, czego szukał. Był to plik jakichś notatek. Mrużąc oczy ruchem, który zdążyłem już zniecierliwić, powiedział:

— W twojej metodzie jest szpara.

Na pewno sam wiesz o tym... Może nawet coś kombinujesz... Przy wysokości 350 metrów nóż ci za szybko wysiadła. Nie opracowałeś sprawy żłobka na powierzchni noża. Ja nie jestem taki zdolny, wszystko męczę długo i nie wiedzieć po co, ale nad tym myślałem. Masz tu trochę uwag. Zdolniejszy jesteś, szybciej tym szparę zatkaż.

I złapałszy kożuch wybiegł, nie wkładając go, z mieszkania.

Była to ostatnia chwila, w której jeszcze mogłem go złapać. Słyszałem jak zbiegł na pierwsze piętro, potem na parter. Jeszcze mogłem próbować go dogonić. Może spodziewał się tego, kto wie? Ale ja stałem w miejscu.

Wreszcie trzasnęły drzwi wyjściowe.

Kiedy wybiegłem z domu, było już za późno. Mieszkałem na Arbacie, jednej z najruchliwszych ulic Moskwy; chodnikami płynęły tłumy przechodniów. Pod stopami śnieg przelewał się jak tarty chrzan.

W bielej rzecy płały się śliskie samochody. Zderzałem się z ludźmi, raz i drugi prosto w twarz zapaliła mi się para reflektorów; krzyczałem na cały głos: „aniusza! Waniuszaaaa!”, aż śnieg sywał mi się do ust i jacyś mężczyźni zaczęli mnie chwytąć za ręce.

Nigdy już nie udało mi się go odnaleźć. Nazwisko! Ach, gdybym go wtedy poprosił o powtórzenie nazwiska! Gdybym przynajmniej wybiegł za nim od razu!

A tak — może on do dzisiaj myśli, że to wszystko było na darmo?

III

Wiatr zmienił kierunek i zaczął nam wlewać fale deszczu na balkon. Musieliśmy się przenieść na długi, wąski ganecek z południowej strony budynku. Teraz mieliśmy przed sobą basen, w którym

bulgotała ulewa. Było tu ciepło: ściany parowały niedawno wchłoniętym skwarem.

Z szatni wyjrzała głowa naszego znajomego, który pokłwał nam przyjaźnie, na co Kostia odpowiedział mu niemym uśmiechem. Milczenie przerwał Arkasza:

— Nigdy mi tego nie opowiadałeś. Kostia, słuchaj, kochany, czy jesteś całkiem pewien, że ten człowiek mówił o sobie Waniusza?

— Absolutnie jestem pewien — stwierdził cicho, ale stanowczo Kostia.

— A może on był Wania? — nalegał Arkadij. — Spróbuj sobie przypomnieć!

— Nudzisz — skrzywił się tokarz. — A zresztą, czy ci nie wszystko jedno?

Arkasza palił, patrząc na tamtego i widzieliśmy, że coś sobie w głowie porządkuje.

— Poznałem się kiedyś z żołnierzem, który przypomniał mi twojego Waniuszę... Przypomina!... Kostia, miły, kochany, to musiał być on! Jego wygląd, o ile dobrze go opisałem, że wasy, wzrost — pamiętam, że był ode mnie rzeczywiście odrobinę wyższy — nie, Kostia, to musiał być on!... Ale z drugiego stron... Lata nie pasują... Ta wasza kłótnia, czy dyskusja, jak wolisz, była w czterdziestym siódmym...

— Osmym.

— Osmym? No, właśnie, a ten żołnierz wtedy już nie żył. A zresztą?... Już teraz nie wiem... Może?... Tylko to imię... Nie Waniusza, tylko Wania... Powiesz może: drobiazg... Ale dorośli nie pozwalają zmieniać swoich zdrobnień; tylko to im pozostało z dzieciństwa...

IV

„Tego żołnierza, o którym mówię, spotkałem w styczniu czterdziestego piątego. Pamiętam nawet dokładnie: trzynastego stycznia, w drugim dniu ofensywy. Dowodziłem wtedy plutonem czołgów T-34, który wchodził w skład jednej z grup pancernych I Frontu Ukraińskiego. Grupa ta nacierała w kierunku zachodnim; przedierała się przez góry Świętokrzyskie. Teren był trudny, porośnięty lasem; co krok, to wąz, albo strone zbocz, wszędzie zaskieki i zawaluty...

W południe wzywają mnie do szefa sztabu dywizji. Szef sztabu rozkazuje mi odszukać na mapie jakieś niewielkie miasteczko, Tarnomierz, czy Staromierz; możliwe zresztą, że w ogóle przekreśliłem nazwę. Od tamtego czasu minęło przecież osiem lat!... Odnajduję je — miasteczko leży z boku od głównej szlaki ofensywy, na tak zwanym „kierunku drugorzędnym”.

Pluton mój zostaje wzmocniony przez dwa samochody pancerne, i jeden pluton piechoty zmotoryzowanej. W dwadzieścia minut później, jako samodzielny patrol rozpoznawczy, idziemy na południe.

Widoczność kiepska. Syple śnieg. Cieżarówka, mimo łańcuchów, namotanych na koła, z trudem posuwa się w zaspach. Co chwila muszę się za nią oglądać. Do tego silny wiatr i mroź, który nadal nie puszcza... Dokoła nas okolica spokojna i pusta. Niedługo po południu docieramy do kamieniołomów, oznaczonych na mapie jako zębate podkówki. Stąd widać już Staromierz. Do dziś mam w oczach ten widok: miasteczko na dnie kotliny i poruszające się nad nim kłęby dymu. Pożaru nie widać — zakrywają go dachy domów...

Od pierwszych zaułków Staromierza dzieli nas półtora kilometra śniegu. Wysyłam w tę stronę jedną z pancerek. Po dwóch minutach stoi w ogniu: miasteczko jest zajęte przez Niemców.

Zaledwie skończyłem nadawanie przez radio meldunku do sztabu, zgłasza się do mnie trzech ludzi z polskiej partyzantki. Są obdarci, bladoi i wychudli. Dowiaduję się od nich, że od kilku tygodni ukrywają się w nieczynnym piecu do wypalania wapna. Mimo to broń ich jest czarna i błyszcząca, jakby ją otrzymali prosto z magazynu... Dwaj z nich to tłuczkarze z kamieniołomu; poznaję to łatwo po odciskach na dłoni, podobnych do kopyt. Patrzam na nas, mrużąc oczyma, usta im drżą... Zresztą nie potrafię mówić o takich rzeczach.

Na jednym z worków leży młody chłopak z uchem, przyciśniętym do słuchawki telefonu.

— Proszę, posłuchajcie, towarzyszu starszy lejtnancie — mówi Wania.

— Pożalujcie — szepcze chłopak, siląc się na wyraz rosyjski i robi mi miejsce na worku. Patrzając pytająco na Wanę kiękam i biorę do ręki słuchawkę.

— Trzeszcz...

Wania kręci głową:

— To nie, proszę słuchać dalej. Przyskram do skroni ten czar-ny, nagrzany przez mojego poprzednika trzeszczący przedmiot i wsluchuję się w jego szmery. Na co mam czekać? Czy ktoś mnie z kimś łączy? A jeżeli tak, to z kim? I po co?

Trzask nie maleje, lecz na odwrót, jakby się potęgował. Towarzyszy mu wysokie nierówne buczenie.

Nagle czuję, że kropelki potu zaczynają mi ściekać po czołe, Zrozumiałem.

(Dokończenie na str. 7)

Pisarze wobec dziesięciolecia

(Dokończenie ze str. 3)

ukazali w sztuce wielkość naszych czasów. A przecież, jak bystro za-uważają Słonimski, codzienne ko-

munikaty o postępach Planu Sześcioletniego brzmią jak patetyczna poezja. Dlaczego więc wiersze w

naszych pismach literackich są jak bezbarwne notatki dziennikarskie? Dlaczego? D i a t e g o ,

II

DO POETY Z TERMINARZEM

Ty dosiadasz krzesła jak Pegaza! Rzućcieś się

z cichym szaleem

w pościg

za tematem, który z kalendarza umknął!

(Więc przedstawiasz w swoim planie — plany: pisziesz odc majową już w czerwcu?)

Mnie brak takiej przedterminowości, nie potrafię przed-czuć.

Z „telefonicznego” mego poematu nic. Tylko ten przypisek oderwany, nie trzymający się poly:

1) W kolorze kwiatów dosłuchiwałem się brzęczenia ich nazwy jak pszczoły.

2) Słyszałem zaspiewy zapachów i mamrotanie kamieni nim zgłuchną.

3) Ważąc na dłoniach światło, rozszerzałem zachód: w tej chwili, kiedy słońce ostatni raz błysło, zapadło — dotykałem pierwszej gwiazdy.

4) Uciekałem z każdej szkoły, każdej, do najdalego siebie: kształciłem się na astrofizyka zmysłów.

5) Mówiąc szukałem tylko słów widzialnych: gwiazdnych śladów Ziemi na niebie.

6) Aż gwiazdę zobaczyłem na ziemi,

Ostry odcinek jej promieni toczono wspólnie na warsztatach, błyskał zęb stali, syczał prąd.

Na szczyt wznoszącej się budowy wzlatał

z robiących rąk pięciopalcowy odbłask: Gwiazda —

— — — — —

7) Murarz Ozański z Huty mówił do pisarza: „Czego Pan to, co pisze, owija w gazetę?

I ludzie byli inni, i wypadki nie te... Nie chcą tego czytać, co się naprawdę nie zdarza Czego nic o tej cegle, co na pwardu ci rozpaloną, żebym lapy sparzył?”

W tej chwili kto na sali zrozumiał, że się ważył ciężar rzeczy — i słów, i że wyżej, niż ten mur i komin,

jaki wznosił w swoim życiu ów towarzysz, nie wolno, bo nie można, wznosić wierszy o nim? Laurka „na cześć” jak cegła paliłaby mu dłońe,

Julian Przybóś

(część środkowa)

I

Idzie od Nowego Światu
Srebrna jak pszeniczny kłos.
Zaraz mignie szary kaptur
Przez Poniatowskiego Most.

Pędzi tramwaj. Dudnią przęśła.
Pod mostami płynie Wisła —

Wisła —
Wisła —
Wisła —
Rzeka w Europie.

II

Szary kaptur śnieg przyprószał.
Śnieg przyprószał igły rzes.
Modry obłok w niebie wjechał
W południowo-wschodni wiatr.

Ona słucha. Pięść tężeje.
W wietrze słyhać głos Korei —

Walka —
Walka —
Walka —
Nasza wspólna sprawa.
Nasza wspólna sprawa.

III

Jeszcze mała chwila: szary
kaptur wpłynie na bulwary.
Leci wróbel, Wisłę goniąc.
Tramwaj plakat wiezie, dzwoniąc.

Plakat. Pokój. Cios barw.
Piórem. Młotem. Bij. Zbaw.

Pokój —
Pokój —
Sława
Braciom koreańskim.

(część prawa: katechizis)

Kto zbiegł z przyrody,
ten nie dialektyk:
nie pojmie ni joty
w czerwonym abecadle poezji,
ni pół nuty w abecadle muzyki.

Kto swe libretta
tylko z ksiąg chwytą,
ten nie poeta,
lecz jezuita.
Majakowski pracował inaczej.

Kto nie ma ognia,
Ten nie ma pochodni.
Poeta jest to
śpiewający robotnik;
Poezja to wesoły parowóz.

A kto ma lilie,
nie pióro w garści,
mimo samozaparcia
jest skazany na wymarcie;

nic mu nie pomoże
ni ciocia, ni wujek.
Kto łą, że pracuje,
ten nic nie rozumie.
Leń to analfabeta, gamma i delta.

I nie pomogą utwory śliczne
oprawione skórą, czy dyktą.
To nie ja. To życie ironiczne
wystukuje werbel werdyktu,
jaki wesoły takt —

biurko spróchnieje,
wiersze spróchnieją.
Słońce się śmieje.
Góry się śmieją.
Wiersze spróchnieją.
Biurko spróchnieje.
Resztę załatwi
wiatr.

✱

Młody poeto, się nie przejmuj:
Odra płynie. Od skał.
Nieraz będzie, że z głowy ci zdejną,
to znów nałożą laur.

Wiedz, że recenzje to carska kopiejka
z tyłka gęsi, co na księżyc gegają.
Ty się ucz konstrukcji od Van Eycka,
pióro twe niech stroi Alkajos.

A wiedz, że pióro to muzyczne narzędzie.
Nie jak mysz, lecz jak struna drżyj.
Mowę jak ziemię spulchniaj. Sól syp wszędzie.
Jak „Largo“ Haendla żyj.

Mnie też wymyślali. I różnie mi szło.
Wóz skrzypiał. I trakt się mylił.
Że to. Że tamto. Że cholera wie co.
Że Nicolo Paganini.

A ja, cóż? na to nic, a ja ot, wśród wikliny
płynąłem jak świeczka po rzeczce.
Ale, wierz mi, kochanie, trudno nie być
Paganinim,
gdy się ma ojczyznę i skrzypce.

A skrzypce to narzędzie. A ojczyzna szeroka,
od Wisły po Yang-tse-Kiang.
Lecz ucz się pisać wierszy na polskich
obłokach.

Na Stwosza obłokach. Tak.

RONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI

KOBIETA
W SZARYM KAPTURZE

(OBRAZ POETYCKI W SZEŚCIU CZĘŚCIACH)

część środkowa	predella
część prawa	scherzo i marsz
część lewa	finał

Łżepatosu się oducz. I koturny spal.
Tym patosem nas truli jezuici.
Z surowca wiersze buduj. I jak krawiec bądź,
co mo igłę, sukno i nici.

Mickiewicza z „Romansów“ za przykład weź,
niech ci rad codziennie udziela.
Ucz się mówić do dzieci. Dla wroga miej pięść.
Dłoń dla przyjaciela.

Z przyrodą wejdz w konszachty. Umiej być psem i ptakiem,
lwem i węzem i lisem rudym.
Na czarnoleskiej muzie jak na kłaczy siedź okrakiem,
a nade wszystko nie wierz w cudy,
zakręć z cudami kran:

„Nie umiem ja, gdy w żagle
uderzą wiatry nagle,
krzyżem padać i świętych przenajdować dary...“

Tak — mówi — Jan.

Sztuka jest ostro trudna. Wiele sekretów ma.
Precyzyjna jak świetny zegarek.
Trzeba czuwać i czuwać, by nie chwyciła rdza
delikatnych naszych obrabiarek.

I ja, choć stary rymopis,
nie tego bogać smyczkuję.
Patrzę w mój stary rękopis
i bardzo się dziwuję:

(część lewa)

„Gwiazdy w lebiodach gasną.
Wóz z latarnią skrzypi wśród pól,
z latarni promienie na wasąg —
a księżyc
gasnący
wydzwania Balladę ef-moll.

— Co, panie? Szopen?
— Toć Szopen. Fryc.
— Sikorki, panie, na leszczynach.
— Na wiązce z g ochowin Szopen...
— Co?
— Nic.
Konie batem podcina.

Wóz gada.
Świt gada.
Z latarni blask wśród traw.
— Jak wasz syn ma na imię?
— Tadek.
— A co robi?
— Pianista. Dziś właśnie w radio gra
te szopenowskie ballady.
— O, już świta.
— No przecie.
— Macie przepiękny wóz.
I traktory? Z „Ursusa“? I światło?
Widzicie, nasz kraj będzie, wciąż będzie rósł i rósł.
Na przekór emigrantom.

— Wy z Warszawy? To żona?
— My zawsze razem w świat.
Ja wiersz koszę, a żona podbiera.
— Dużo parcy?
— Wiadomo. Dla wszystkich Plan. Sześć lat.
U nas też. Jak w hutach. Jak w pegeerach.
— Co? Pan byłeś w stalagu? Ja też. Rozmaicie
podmuchiwał nam w oczy wiatr.
Ano, minęło z wiatrem. Teraz Plan. Rośnie życie
i jak dęby zastępy kadr.

Pokój zwycięży wojnę.

— Z tej latarni u woza
światło, widzisz, jak fala morska.
— Co?
— A w świeceniu tym, słyszysz?
Takie słowo jak róża,
szept serdeczny.
— Co mówicie?
— Polska.
Widzi pan, raz był tokarz.
— Tokarz?
— Tak. Z „niższych sfer“.
Nazywał się Pierre Degeyter.
I ten Degeyter...
— Ten tokarz?
— Tak. Raz wszedł
do „kafejki“ na ulicy de la Vignette.
A to było we Francji,
w Lille krwawiącym jak rubin,
tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego;
po masakrze wersalskiej; burżuazja bardzo lubi,
bardzo lubi wersal, kolego.
I ten tokarz flamandzki do fisharmonii siadł,
od drugiego tokarza miał słówka —
i w malutkiej „kafeice“ zerwał się wielki wiatr,
pieśń powstała — Międzynarodówka.

To ziemia ją zrodziła z walecznych słów i nut,
z nią ojcowie szli i synowie
i z nią zdobędzie pokój na całym świecie lud,
wszystkie ludy jak jeden człowiek.

Co? Już świta. Z jeziora czapla leci pod mgłą.
Zgaś latarnię. Koła ujadą.
Życie to pieśń waleczna. A ocalili ją
owrońcy Stalingradu.

Co? Trochę usnę. W muzykę, w muzykę
wiesz mnie, mój drogi, dalej i dalej i...
i Grecję wyzwolić spod jarzma...
kraj Orfeusza... Co?... jestem... żeglarz.“

(predella)

Przedwieczorna godzina.
Sikorki na leszczynach.
Gałąź pod stopą trzaska.
Miga niebieska kraska.
Kobieta w szarym kapturze
niesie w kędziorach różę.
Szczygieł na jej ramieniu
myje piórka w promieniu.
Mysikrólik na smyczku.
Dwa słońca na policzku.
Rude skrzypce pod brodą.
Palce wiersz ze strun plotą.
Smyczek do strun dotyka,
rodzi się wiersz — muzyka.
Za muzyką lis idzie,
każdy stwór rozmaicie,
wiewiór skacze, drop biegnie,
sokół kołuje pięknie.
Niedźwiedź człapie. Kos gwizda.
Dąb idzie cały w liściach.
Gęsi grzmia jak waltornie;
za gęśmi wilk pokornie,
za wilkiem wielbłąd z chmur,
a gołębie szur-szur-szur.
Tnie smyk w treść śpiewodrzewa,
a w skrzypcach już noc pobrzmiewa
Na niebie świeci Wielki Wóz
odbitý przez niebieską kalkę.
A księżyc w ciemnych wtkach brzóz
jak srebrna wdowa przez wualkę.

(scherzo i marsz z „Kobiety w szarym kapturze“)

Paganini!
Treść i forma.
Bałtyk grzmi. Wpada wiatr. Pieśń do ust.
Dalejże.
Dalejże.
Razem.
In nova fert enimus mutatas dicere formas
corpora,
Paganini.

Wiersz świeci jak latarnia kolejarska:
Bałtyk stanął dęba i jak koń parska.
Wnuczkę Oceana Venus Morską
pod Kołobrzegiem widać, niesioną przez
muszlę polską,

a ty na jej włosach grasz zielonych,
Nicolo
Paganini.

Zawodzi wiatr.
Ociepla się.
Pod chmurą mewa płacze.
Interdum, synchronicznie, na plaży, proszę
państwa,

w spodenkach liliowych, proszę państwa,
uwagi robią smarkacze:

Dlaczego mewa? Mewa jest w biblii,
ergo religianctwo, syczą smarkacze,
brednia im z mózdków dymi.
A jeśli już mewa, to dlaczego płacze?
bo, jak płacze, to pesymizm.

Nicolo ty, ty nie bądź kiep
i gdy się smarkacz ślini,
ty raz smyczkiem w struny, a raz smyczkiem
w łeb,

Nicolo
Paganini.

Bałtyk szumi. Łódź pod banderą
jak „Sonet Krymski“ kołysze się.
Sława monterom. Sława szoferom.
Górnikom sława! I Z.M.P.

(finał)

Kobieta w szarym kapturze
oczy otwarła duże,
rzęsy jej rosy myją.

Bębni jezioro falami,
a ona schodzi z Muzami:
z Euterpą i z Uraniją.

Ona jest treść w kobiecie,
i pora roku piąta
i wstążka murarskich wiech;

walka jest i ochota,
w ceglach i w strofach uroda
i życiodajny śmiech.

Ona jest treść w kobiecie
i słońce jest antykrezie,
kalambur i epopeja;

rytm neapolitanek,
morski chód warszawianek,
elegia. I energia.

Ona pomaga. I czyni.
Rzęsami czarnosrebrnymi
wiele może, gdy chce.

Gdy trzeba, lutnię z księżycem,
gdy trzeba — łądownicę
poda! I śmieje się.

Oto gwiazd wzeszło kilkoro.
Ona schodzi w jezioro,
w jezioro, przez leśny dukt.

Kobieta w szarym kapturze.
Kobieta w szarym kapturze.
Kobieta w szarym kapturze.

Punkt.

Styczeń, 1951 r.

K. I. GAŁCZYŃSKI

„C E L U L O Z A“



Ludzie różnie oceniają filmy. Jeden z moich znanych chcąc wyrazić swoje uznanie dla „Celulozy” reżysera Kawalerowicza, powołał się na opinię krtani – że coś są w mocniejszych momentach skisłało; inny argumentował przy pomocy mniej wytworzonej części ciała – że się na filmie da wysiedzieć. A wszyscy, którzy nie widzieli jeszcze „Celulozy” zadają bez przerwy jedno pytanie: „Lepsze czy gorsze od „Piątki z ulicy Barskiej?”

Ja na to pytanie nie będę odpowiadał. Istnieje jednak jakaś różnica pomiędzy sztuką a wyścigami konnymi na Służewcu, gdzie po obergerzeniu gonitw można bez obawy powiedzieć, który koń jest lepszy. W sztuce można tonem bezwzględnie wartościującym mówić jedynie tam, gdzie mamy do czynienia z biedem, kłócącym się bądź to z elementarnymi zasadami sztuki, bądź też z zasadami obowiązującymi wewnątrz obranej przez twórcę konwencji. Nie można natomiast mówić że np. Mann jest lepszy lub gorszy od Brechta, bo to dwie zupełnie różne sprawy.

Nie chcę też mówić o książce Newerlego, choć to może i pojętne teraz, kiedy wiele spraw się odzłaziło i nabrało dojrzałości, puścić się na wody rewizjonizmu. Porównywanie jednak filmu z książką nie należy do dobrych obyczajów. Cóż mnie bowiem, gdy siedzę w kinie, obchodzi, że ten czy ów autor napisał dobrą czy złą powieść? Chcę oglądać film, nie książkę, inaczej mogłoby w ogóle nie wychodzić z domu i całą rzecz przeczytać spokojnie w fotelu i przy lampce, jak szukał klasyków dramatu świętego, których niesposób oglądać na naszych scenach.

Fozbądzmy się więc zbędnego ba-
astu: konieczności odpowiadania
na nierozsądne pytania w rodzaju
ych, które stawia się dzieciom:
"kogo bardziej kochasz — mamu-
się czy tatusia?". Zostańmy z fil-
nem.

"Celuloza" to film o dwudziestoleciu międzywojennym. Pierwszy film o dwudziestolecu. Stwierdzając to, ulegam dość u nas powszechnej modzie na statystykę. Nasza krytyka lubuje się w obliczeniach w rodzaju: "pierwszy film o miłości", "trzeci o wsi", "dwudziesty nieudany". Jakie jest znaczenie tego typu obliczeń? Myślę, że jeżeli jest jakieś, to chyba tylko zaotworzenie sumy doświadczeń, zdobytych w zetknięciu z danym tematem niezależnie od ich pozytywnej czy negatywnej wartości.

Z tematem dwudziestolecia film polski spotyka się po raz pierwszy. Niewiele też doświadczeń ma w tym względzie powieść powojenna. Nie jest to bynajmniej temat łatwy. Dyskusja o literaturze dwudziestolecia wykazała jak trudno jest rozznosić się w tych sprawach, które dziś już niby to należą do minionej historii, ale przecież znajdują się jeszcze w zasięgu osobistego doświadczenia większości odbiorców. Nie pasuje do tych czasów schemat filmu historycznego, którego liczne kazy nauczyły nas z równą nieoptymalnością rozpoznawać od pierwszego wejrzenia przedstawicieli „sił ostępu” od „obozu reakcji”, jak miemy poznać na ekranie kulak. Zgatożystę i promiennego działacza, nie pasuje schemat współczesny, nie pasuje blaga, bo 3/4 widzowi od razu się na niej pozna. Trzeba szukać na własną rękę.

Wydaje mi się, że cały sukces "Celulozy" polega na umiarkowanej poszukiwaniu. Jest to oczywiście truizm, ale warto go powtórzyć. Stwierdzić, że film ten nie wyzwał nam krzywdy przez stworzenie jeszcze jednego schematu, który, zdawało się, stał za progiem. Jest to schemat niedobrego ustroju zającego pod jego jarzmem spru-

wiedliwego nieskazitelnego ludu. Mielśmy już tego typu przykłady w filmie demokracji ludowych, ale „Celuloza”, głównie dzięki scenariuszowi, zdołała je ominąć. Stało się tak przede wszystkim za sprawą bohaterów. I jeśli dalsze elementy, o których będzie mowa, wsparty tę główną zaletę, to jednak ona jest decydującą w ogólnym wyrazie filmu.

Wydaje mi się, że prawdziwa sztuka zaczyna się tam, gdzie człowiek przestaje być jedynie bezwładną lupiną na nurcie historii, ale zyskuje własne, historią uwarunkowane, ale przecież od jego woli zależne cechy, tak jak wolność zaczyna się tam, gdzie można wybierać. W „Piątce z ulicy Barskiej” mieliśmy niedawno przykład rodzenia się takiej właśnie sztuki. „Celuloza” jest następnym krokiem. W filmie tym, mówiąc najogólniej zlikwidowany został nieznosny, wulgarno – socjologiczny automatyzm, kierujący losami ludzi. Ważmy postacie takie, jak Korbal, Czerwulacek, chorąży Patulowski. Pierwszy z nich, to robot-

nik, drugi — majster stolarski, prowadzący własny warsztat, jakbyś mi dziś powiedzieli, — siłą najemną, trzeci wreszcie — sanacyjny, oficer zawodowy. Ale te określenia zawodów czy pochodzenia klasowego nie decydują o wartościach ludzkich tych postaci. Korbal jest łobuzem, Czerwaczek mimo że typowy drobniomieszczanin ma jednak „gest” wskazujący na swoistą niezależność myśli (scena z obiadem czeladników), wreszcie Pawłowski to przecież wcale nie „zupak”, ale właśnie porządną człowiek. To zindywiduizowanie postaci nie ma oczywiście nic wspólnego z owym wyobrażeniem o francuskiej kuchni, jakie miał jeden z bohaterów „Zapisków myśliwego” Turgeniewa — kucharz, który za szczyt wykintu uważał podawanie deseru na stole, mięsa na słodko a marynat na gorzko. „Smaki” postaci w „Celulozie” zostają przecież typowe, bo indywidualności nawet najbardziej rozwichrzone porządkuje zasadnicza dziejowa prawidłowość, ale właśnie owym indywidualnościom należy zawdzięczać, że po obejrzeniu

niu całosci filmu jakże dalecy jesteśmy od młodości — zawodowej choroby recenzenta. Dzięki rysunkowi głównych postaci, dzięki temu, że film Kawalerowicza będzie obrazem historii ilustruje jednak wymownie starą prawdę, że każdy jest kowalem swego losu, „Celuloza” zyskuje wyraźny szkielet dramatyczny. Jest to dramaturgia szczególnego rodzaju (aż skóra cierpnie, gdy się wymawia te słowa po błędach, jakich narobiliśmy wypisując o rozmaitych „szczególnych dramaturgiach” pod którymi kryła się zwykła bezkonklowość). Jest to jednak szczególna dramaturgia. Wyznacza ją owe słynne już dziś pragnienie, wyrażone w książce Newerlego — „przeżyć jak człowiek”. Bohatera filmu, Szczesnego, doświadcza się surowo. Dookoła niego widzimy przykłady tych, którzy nie potrafili tak przeżyć swego życia. Wreszcie pierwsza seria tego filmu o pozytywnym bohaterze pokazuje przecięź, (uproszczając nieco sprawę), nic innego, jak degrengoladę bohatera, który na końcu swojej drogi sam siebie

się brzydził w nieco przesadnym, jak zwykle w takich razach, przypływie samokrytycyzmu. Dramat, najcenniejszy chyba z dramatów, rodzi się w „Celulozie” pomiędzy pragnieniem bohatera, a jego nieporadnością, wspomaganą przez otoczenie, które częściej łamie niż prostuje jego drogę. Jest to ludzki dramat walki z losem. I ten dramat sprawia, że jolem się pasjonujący. Pasjonujący pomimo błędów w konstrukcji.

Jakie są te błędy? Wydaje mi się, że głównym błędem jest przeładowanie filmu masą spraw i postaci. Być może wpływa na to zbyt krótkie przebiegi i powieści. W każdym razie, przy drobnie przesady, można powiedzieć, że siedząc w kinie jest się chwilami w sytuacji tego gościa, który czytając książkę telefoniczną stwierdza, że owsem, interesująco, tylko trochę za dużo postaci — nie można się polapać. Trudno za pierwszym oglądaniem filmu skojarzyć postać syna brodatego PPS-owca z Włocławka z sympatycznym chłopczycą, którego Szczególny spotyka w wojsku. Trud-

no zorientować się, kim jest właściciel zamachowiec Gabiński. Nie wiem do dziś dnia, dlaczego fakt, że Korbal przedstawia się pannie Gienie jako artysta usprawiedliwiał, gdy kupuje czerstwą bułkę. Przypomina mi się to, co niedawno pisałem o „Piątce” — że jest tam szereg rzeczy niezrozumiałych, niesłychanych; może to już taki „styl na rodowy”? Chociaż raczej — niedbalstwo.

Nie będą dłużej ukrywał. Znając książkę Newerlego wiedząc, że Newerły wraz z Kawalerowiczem pisze scenariusz „Celulozy” bytem pewien, że będzie dobry scenariusz i dobre postacie. I dlatego tym, co najbardziej mnie uradowało, gdy wyszedłem z kina, tym co łączy się dla mnie z pojęciem samodzielnego sukcesu „Celulozy” z celulozid, jest film. Film — sztuka wizualna oparta na fotografii. Książka Newerlego, scenariusz były na tyle dobre (pomijając wspomniane wyżej błędy dramatologii), że zadanie polegało w zasadzie na tym, aby nic nie popsuć. Natomiast odcinkiem, na którym Kawalerowicz — powiedzmy bez obawy — posunął znakomicie naprzód rozwój naszej kinematografii jest właśnie warstwą filmową. Pomimo dużych niekiedy scen (jak np. zbyt częste sceny walki na bagnety). Pomimo nieuleczalnej chyba w naszych filmach choroby złego zakończenia. Oczywiście, podniosą się głosy, że robił „pod Włochów” czy „pod Francuzów”. Nie są to jednak zarzuty. Wydaje mi się że reżyser wraz z operatorem Kruszyńskim zrobili film pod to, co jest istotą współczesnego filmu — pod sztukę patrzenia na rzeczywistość przy pomocy fotografii. Te sztuki, którą najdoskonalej wyraża włoski neorealizm. W „Celulozie” nie ma ani stylizacji, ani pretensjonalności. Jest po prostu patrzenie, bogate zabudowywanie w głąb urzutowanych planów w scenach masowych czy ujęciach ogólnych, niby to przypadkowe, ale nadające filmowi walor rzetelnej obserwacji łowienie szczegółów obyczajowych i rekwizytów, co zbliża film do albumu dziennikarskich zdjęć z lat dwudziestych. Jest wyczuć plastycznego charakteru i faktury przedmiotów takich, jak sęki drzewa na podwórzu, podłoga w koszarach, wnętrza pretensjonalnego mieszczańskiego pokoiku z głupimi kotkami u Czerwaczeków i plastycznego charakteru samej taśmy filmowej, rozgrywającej wszystkie obrazy pomiędzy czernią a bielą.

Jest wreszcie kapitalna kompozycja kadrowa w scenach na Kozłowie, z niskim horyzontem piaskowych wydm, przestrzenią, powietrzem. Obiektyw kamery, który w tym filmie, porównując z innymi pracami naszych reżyserów, uzyskał najpełniejszą dotychczas swobodę patrzenia obiektywnego, stał się jednocześnie narzędziem przemysłowej kompozycji. W sukurs przychodzi montaż, na pewno nie nowy, czasem wyraźnie zapożyczony (sceny w wojsku inspirowane przez „Poddanego” Stawidlega), ale przecież przypominający dobre (i choć z tego, że stare?) tradycje sztuki filmowej. Wreszcie dopomaga dźwięk i chwył czysto filmowy lub czysto filmowego charakteru karykatura (dewotka podobna do jaszczurki, krzeczka histerycznie przez okno, świnki łeb nad szyldem sklepu w scenie załotów Korhala do Gieni, pantofle Zochy na plecach Szczęsnego w scenie pocatunków).

conf. met. 12. 5. 1962

Nad „Pamiętnikiem Teatralnym”

Kwartalnik poświęcony historii i krytyce teatru — „Pamiętnik Teatralny” zakończył drugi rok swego istnienia. Dwa pełne roczniki — to znaczy osiem pięknie wydanych zeszytów liczących razem ok. 1850 stron druku.

[illegible]

Sekcja Teatrów PIS wykonuje olbrzymią pracę nad odbudowaniem zaniedbanych dziedzin w dziedzinie materiałowej, dokumentacyjnej i historyczno-teatralnej. Nauka musi mieć oczywiście podstawy, a te podstawy nie mogą być siłą w próżni i kroczyć po drodze podskazywanych rozmyślań. Na podstawie badań materiałowych prowadzi się uciążliwe prace nad prawie nie istniejącą historią polskiego teatru. Pozytycki o charakterze historyczno-teatralnym mamy w „Pamiętnikach teatralnych” sporo świadczą one o poważnym wkładzie w rozwój teatru i historię polskiego teatru. Jakże prowadzi PIS. Nie wszystkie te, jakie miał

**CZY
TEL
NIK**

NOWOŚCI

Wacław Kubacki
ZEGLARZ I PIELGRZYM
Trzy rozprawy poświęcone twórczości Mickiewicza z prac Instytutu Badań Literackich PAN
Str. 316 zł 16.-

Str. 316 zł 16.—

ambicję służenia współczesnemu teatrowi, współczesnej kulturze. Ale mamy tu przede wszystkim tak zwane „Zbigniewa Hasekowskiego o „Moralności” (Dziękuję). Tadeusza Świrta o dramacie w teatrze polskiego Oświecenia, Juliana Krzyżanowskiego i Kazimierza Budzkiego o teatrze staropolskim. Na dobro redakcji trzeba polecić zajęcia się tradycjami teatru, w tym teatrze, historią polskiej krytyki teatralnej. W „Zbigniewa Hasekowskiego” o „Moralności” (Dziękuję) obcego wymienić trzeba przede wszystkim Grzegorza Sinko „Wielkość i upadek realizmu w teatrze angielskim XVIII w.” oraz „Uwagi o autorku „Iwizora” Jerzego Pomianowskiego. Ta ostatnia powieść, na którą może ambicja wpływać, ma na wolności „Zbigniewa Hasekowskiego” o „Moralności” (Dziękuję). Z prac dotyczących ściśle „Zbigniewa Hasekowskiego” o „Moralności” (Dziękuję) samego teatru mamy syncretyczne ujęcie dzieł teatru warszawskiego dokonane przez Eugeniusza Szwanowskiego, prace Kariny Wierzbickiej „Teatr poddany w Polsce”, wreszcie dwie książki Tadeusza Świrta: „Teatr polski i francuski” i „Teatr polski i francuski” (Dziękuję). Alfreda Wyszyńskiego „Zeszyt 3 — 1953 poświęcony jest teatrowi renesansowemu, a zeszyt ostatni — historii teatru krakowskiego. Oba te numery przyniosła materiał bogaty i ciekawy, zwłaszcza numer o teatrze krakowskim, w którym rozprawa Antoniego Brąyera o bogactwie i ubóstwie „Zbigniewa Hasekowskiego” o „Moralności” (Dziękuję). Współczesne życie teatralne, granicząca obrządku artykuły badaczy z dziełami o teatrze zachodnio-europejskim i teatrze USA oraz długi artykuł Leona Schillera „Teatry berlińskie w lutym 1953 r.” zaopiniowany w opinie z życia teatralnego i „Zbigniewa Hasekowskiego” o „Moralności” (Dziękuję). Interesujący jest aneks II o recepcji systemu Stanisławskiego w teatrach NRD dalszej dyskusji o teatrze Brechta,

Zadanie owanego uczestnicznika w rozwoju wspólnego teatru spełnił „Pamiętnik Teatralny” właściwie tylko na odcinku zaznajamiania nas z teatrem rodzajnowskim rodzickim, Irena Schuchowska pisła o rodzickim dyskusji nad systemem Stanisławska, Wanda Padwa o twórczości rodzickiego, Włodzimierz Lwow o dwuliczeniach rodzickiego teatrolodji. Wydrukowane wiadomości „Pracy aktorów i ról” z doskonałym przełomem G. Kristi, oraz ostatni wariant dzieła „Teatralne odczucie życia w sztuce i w roli”, który wraz z zamieszczonymi przez dwuliczników „Teatru” „Dwona rozmowami o sztuce i o roli” i „Zeszytu” stanowi pełny materiał do przemyślenia metody działań filozoficznych. Wydruki o Nowej sztuce znanego P. A. Markowa o „Kierunku znanym” znanego oraz fragment wydanej przez VTO monografii klasycznej przedstawienia „Pokrośnienie złości” w Centralnym Teatrze Armii Czerwonej (analiza inscenizacji dokonana przez M. M. Morozowa). Nawet pozycja historyczna: „Materiały o Wsławianie Biełłinskim jako krytyku teatralnym — jest bardzo bliska teatralności. Ale, Uwagi o występach Teatru w Moskwie w Polsce” — Pomnikowa i „Teatralne odczucie” — alewidy wstęp do cyklu sztuczności i charakterów o ideowo-artystycznym odwołaniu rodzickiego teatru i znaniu tych dowodów dla nas.

Nie jest dla nikogo tajemnicą, iż podoszono to niejednokrotnie (także na VIII posiedzeniu Rady Kultury i Sztuki po pięćmych PIS-ów) że „Pamiętnik Teatralny” (a więc także cała Sekcja Teatru PIS) nie spełnia w pełni swych zadań w stosunku do naszej współczesności. Niepokojące jest, że wśród ośmiu dotychczasowych zeszytów „Pamiętnika” mało jest pozycji mających bezpośredni związek ze współczesnym naszym cyklem teatralnym. W tym ani słowa o ratamapisarstwie współczesnym. Z tym większą zatem pieczołowitością, wyda-

wiały prace, które biorą bezpośredni udział w walce o wielki teatr naszych czasów. Pierwszy zeszyt czasopisma nie miał zachowanych proporcji, jakie miałyby posiadać wszystkie następne. Omówiona tam została nasza dyskusja o krytyce teatralnej, zamieszczono dwie wypowiedzi o charakterze metodologicznym J. Pomianowskiego i K. Puzyna, które skłaniały do przemyśleń. Można to było uznać za dobry początek przyszłej pracy „Pamiętnika Teatralnego” nad kształtowaniem nowatorskiej, wrażliwej, naukowej krytyki. Wydaje się bowiem że naczelnym zadaniem tego właśnie czasopisma jest wypracowanie metody takiej krytyki, zapoczątkowanie rzeczy u nas niesistniejących: naukowych monografií wybitnych inscenizacji i fachowych opisów wielkich ról aktorskich, które miałyby służyć, że „Pamiętnik” stanie się kuzynią i trybuną tego rodzaju prac. Z zaskoczenia spoglądaliśmy na 5/6 — 1952 numer „Kwartalnika Filmowego”, gdzie Jerzy Topolitz zamieścił blisko 50-stronicowe studium krytyczne o „Młodości Chopina”. Zresztą zadanie takie postawił przed „Pamiętnikiem Teatralnym” jego naczelny redaktor, Leon Schiller, w pierwszym numerze wydawnictwa dołączony do pierwszego zeszytu, a dopiero zeszyt 2 — 1953 przyniósł pierwszą w tym czasopiśmie pozycję mówiącą o współczesnym wybitnym wydarzeniu teatralnym. Są to tryby pracy o schillerowskiej inscenizacji „Ilalki”. Zdziwiała Jachimeckiego, Wiolda Rudzińskiego i jeszcze w Leonie Schillerze, Rzecz nie może być o „Ilalki” — nie ma przecież w tym teatralnym rozważań jest tylko utrwalona drukiem reżyserka partytury inscenizacji, a nie konkretne przedstawienie (zresztą Leon Schiller zdaje sobie z tego sprawę i podaje powody) — jest jednak zaczątkiem tego o czym mówiliśmy wyżej. Współczesnych palących problemów teatralnych była mowa w artykułach Leona Schillera „Pro domo nostra”.

Przykład radziecki służył nam tu, w rozważaniach o Sekcji Teatru PIS i jej czasopiśmie. Celem działalności Wschorosyjskiego Towarzystwa Teatralnego było pośrednia twórcza pomoc wspólnie zeszemu, a nie zniszczeniu. Nie można sprawy uproszczyć i powiedzieć, że tylko taki cel powinna mieć także nasza naukowa placówka teatroznawcza. Poza wspomnianą instytucją istnieje w ZSRR Sekcja Teatru przy Państwowym Instytucie Teatralnym, z siedzibą w Kijowie, która także ma za cel omówić prof. Low na łamach „Pamiętnika Teatralnego”. Istnieje poza tym instytut akademickie. Celem ich działalności są przede wszystkim badania historyczne. Nasza Sekcja Teatru PIS, przy pomocy naukowej placówki teatrologicznej, musi mieć zadania. Dlatego nie można mieć pretensji do niej ani do jej czasopiisma za prace historyczno-teatralne. Przeciwnie, te, choć posiedliłyby w kulturze, rzuciłyby nasza współczesną kulturę wstecz w przeszłość. Ale można i trzeba wymagać szerszego i bezpośredniego zajęcia się współczesnym życiem artystycznym.

Wydawca: Czesło w Swej Recenzji z pierwszego, (Teatrnia), „Pamiętnika Teatralnego” (Czesło, Nr 6/7 — 1953) pisal, że główną przyczyną nieistnienia działu polskiego teatru w „Szerszym” w tym czasie opisnie jest słabość naszej krytyki teatralnej. I zaraz przeszedł do rzeczowego, konkretnego wniosków: „Nie mamy dostatecznie pogłębionej, szerszych horyzontach teoretycznych krytyki teatralnej — musimy zatem z tej jaką mamy wyprac grupę najodpowiedniejszych ludzi, próbować kształtować ich pracę w pożądanym przez siebie kierunku”. Ich prace „ludzie się odwołali”.

niewielkie i na krytykę i na charakterze pisma, które także pracą zorganizuje". Wniosek jasny i słuszny. Należałoby go dziś może jeszcze bardziej skonkretyzować, ale w tamtych warunkach nie było Zakład Historii Teatru Polskiego, który zajmując się jednocześnie teatrem współczesnym. Od strony materiałowo-dokumentacyjnej zajmują się nim dział dokumentacji. Dotychczas ta ostatnia strona opracowania współczesnego życia teatralnego nie znalazła się na czoło. A przecież Leon Słomkowski pisał w Prospekcie „Pamiętnika”: „stać nad polem pracy na dokumentację czy statystykę wyników, ale i na ich smiałą, krytyczną ocenę”. Wydaje się, że aby stworzyć szerokie organizacyjne podstawy dla badań nad współczesnym życiem teatralnym należałoby wyodrębnić te badania i powołać do życia Sekcję Teatru PIS Zakład Teatru Współczesnego w świetle Rezolucji Rady Kultury i Sztuki w sprawie PIS mówiącej o rozbudowaniu warsztatu naukowego Instytutu rzecz wydaje się zupełnie realna. W tym wypadku jest to bodaj jedyny rozwiązanie tej sprawy, „Panie! niepokojące sygnalizowały zeszły rok, że teatr realnego”. Nie można bowiem wymagać od kogoś zapisania, aby zajmowało się szeroko naukowemu trójkątowi, którego jednym z narożników obracającym bieżących zagadnień teatralnych, jeśli nie ma szerokiego warsztatu naukowego, w którym prace z tej dziedziny mogłyby się rozwijać. Sekcja literatury PIS przygotowała nam w Dziesięciolecie dzieł teatralne pl. „Materiały do historii literatury teatralnej” (Zeszyt nr 1 — 1953 numerze „Pamiętnika” ogłoszona została „Ankieta w sprawie Teatru Polski Ludowej”, w której czytamy: „W roku poprzedzającym dziesięciolecie Polski Ludowej redakcja „Pamiętnika Dramatycznego” zamierza omówić twórczość dramatyczną naszego czasu. Tematem roku 1944 do dni ostatnich tematem napawają nadzieją. Ale nie tylko chodzi. Nie chodzi jedynie o rozczinowe, „akcyjne” zainteresowanie się teatrem współczesnym i to w rzucie raczej już historycznym. Chodzi o to, aby S.T.P.I.S. przywrócić nam z naszym rozwojem życie teatralne, w bieżącym miało ambicję tworzącym, w przyszłości miało ambicję twórczym. Uważamy, że ankietę powinni stworzyć zaczątek kadry naukowej Zakładu Teatru Współczesnego, o czym ci winni być się zajęć „aktywna” o mocą w realizowaniu polityki kulturalnej naszego państwa Reagować szybko, dając bodźco na wszelkie przejawy życia teatralnego. — Jak głosi wspomniana Rezolucja Rady Kultury i Sztuki.

Andrzej Władysław Kral

NOWOSCI

Jan Wegner
NIEBOROW
monografia
Str. 169 Ilustr. 127 zł 25.—

✱

Stanisław Kolowca

W A W E L
teka
12 plansz zł 11.—

✱

Antoni Uniechowski
STARA WARSZAWA
teka
12 plansz zł 12.—

Wydawnictwo „Sztuka“

Krzysztof T. Toenlitz

I W A N

(Dokończenie ze str. 4)

Ten trzask jest odgłosem pożaru. Pekają deski, strzela ogień, spijają się strawione szczątki. A bucenie? Zrazu brałem je za jakieś zakłócenia na linii. W rzeczywistości zaś jest to dalekie wycie palonych żywcem ludzi.

W sekundę później po drucie spływa szepł w obcym języku. Oddaje słuchawkę leżącemu obok chłopcu.

— Kto to tam?... — pytam Wanie. — Kto po głosem, pokazując aparat.

— To w centralce, na poczcie. Towarzysze... Poczta jest na przeciwko klasztoru. I słysząc...

Czuje, że ci wszyscy z Armii Ludowej, zduszeni w ciasnym korytarzu wpatrują się we mnie z niepokojem, napięciem i rozpaczą, chociaż starają się to ukryć.

Wychodzę.

Na dworze chwytam Wanę za ramiona i zaczynam nim potrząsać.

— Słuchaj ty, Iwan, starszyna. Słuchaj, zastanów się! To wszystko jest okropne! Oni tak patrzają, czekają! Umiesz po polsku, wytłumacz im... Przecież dywizja nie zmienia kierunku natarcia dlatego, że tu się pali więźniowie! Tam, w górach, biją się; jest im ciężko, ale biją się, ale idą na zachód i tego nikt nie zmięli!

— A po co?

— Po co zmieniać?

— Tak. Po co?

— No, widzisz, do rana nie będzie tu ani jednego Niemca. Oskrzydlenie i tak dalej... No, ale przecież do rana... Tam, w klasztorze...

— Pozwólcie mapę...

Otwieram torbę i brodą przytrzymując skórzaną kłapę, wyjmuję sztabówkę w celofanowej kopercie. Pomazanej dermatografem. Wania szybko odnajduje kamieniolomy i Siaromierz.

— „Pantery” stoją tutaj. Tędy biegnie rów przeciwczołgowy. W tych domach są gniazda cekaemów. Co do motocyklistów, to prawdopodobnie zatrzymali się przed klasztorem. A tu, proszę, towarzyszu starszy lejtenancie, widzicie rzeczkę. Rzeczka jest zamrznięta. Łód wytzyma.

— Co wytrzyma?

— Wasze czolgi.

— Wujku, zastanów się! Trzy czolgi, pancernka i pluton piechoty! Zdobywać z tym miasteczko? Nikt nie dojdzie, nikt, nikt! Zwarował się chyba! Postukaj się! A po za tym... Jesteśmy patrolom rozpoznawczym, nam nie wolno...

— Gdybym był na waszym miejscu, porozumiałbym się ze sztabem. Powiedziałbym: „Towarzyszu pułkowniku, zadanie wykonałem, teren rozpoznany, tak i tak, a teraz pozwólcie nacierać.” Pozwoliłby. Wydałby, bądź co bądź, wyjątkowo.

Każdy żołnierz przeżywa to przynajmniej raz jeden: nie chodzi tu o zwykłe przyzwyczajanie do życia; nit, to wybuch jakiegoś przenikliwego wstrętu na myśl, że za godzinę można zginąć. Nigdy przedtem tego nie czulem. Byłem dumny z siebie. Ze swego charakteru, ze swego spokoju. I oto nagle spostrzegam, że dogoryję, że drzę, że się pocę...

— Czyżbym się bał?...

Oglądam się, czy nas nikt nie może słyszeć i zaczynam wrzeszczeć szepciem:

— Nonsens, nonsens! Nikt nie dojdzie! Nikt! Rozumiesz? Nikt! Nikt. A ja jestem dowódcą, ja odpowiadam za życie żołnierzy! Przecież całą wojnę! Wyzwoliłi wszystkich miasta radzieckie. Czekają na nich matki. Wojna się kończy! Za miesiąc, za dwa, za trzy będzie pokój! Wszystko wytrzymali i teraz mieliby... Przez moją lekkomyślność?... O, weź Milutina, to dowódca jednego czolgu. Pod Kurskiem wywłókł mnie spod miotacza ognia. Prawie skóry nie ma na rękach! Przykleiła mu się do betonu, taki gorący był ten beton! I ja Milutina mam za to posłać na śmierć?... A tamten, Sarkawadze... Jego żona jest ślepa. Ma go jednego na świecie. Ty tego wszystkiego nie wiesz, a ja wiem! Ja wiem!... To jak ich... Na stracenie...

Wania pyta zimno:

— Członek partii?

— Kandydat...

— Komuniści nie wolno stać i patrzeć, jak umiera dziewięćset ludzi. Nie wolno — nawet, jeżeli się boi.

W kilka minut potem rozmawiałem przez radio z dowódcą dywizji. Wysłuchał wszystkiego.

— No, co, starszy lejtenancie? — mówi, a w głosie jego słyszę dzwaczny śmiech. — Przeprowadź akcję jak najprytniej, prawda?

Przez chwilę waham się, czy przypomnieć mu to, o czym nie wolno mi zamilczeć.

— Towarzyszu pułkowniku... Mogą być straty... Do stu procent stanu...

Przykram ślinę z trudem, czekając na odpowiedź. Wydaje mi się. że helm spał mi czaszkę, a laryngofony zginiotą kłan.

Wtedy rozlega się krzyk pułkownika:

— Cóż ty, wiersze układasz? Jazda!

Mój czolg spłonął drugi z kolei, już na rynku.

Widzę to wszystko, jak na fotografii: blask benzyny, wybuchającej w bakach przewróconych motocykli, obdartych cywilów z czerwonymi opaskami na rękawach i z terkoczącymi automatami w rękach i wrzeszczących klasztor, płonący jak ognisko. Bramę jego taranuje ostatni czolg patrolu, dowodzony — po śmierci Milutina — przez Wanę. Widzę splaszoną wieżę, odwróconą działem do tyłu i zardzewiałe, czerwone wręta, pekające pod uderzeniem wozu.

Chcę krzyknąć, ale udaje mi się tylko planąć krwią. Samotny esesman, przed którym chciałbym ostrzec Wanę, kryje się za pustą ośarówką, zbiornik podsakujące mu na plecach, w dłoniach czerniejąc wylot lufy miotacza. Ale nie mogę dobrać głosu, potrafię tylko zdźwignąć się na lokciach, a z ust cieknie mi na śnieg czerwona strużka...

Ostatnie, co mi zostaje w pamięci, to biała błyskawica, bijąca w stronę czolgu Wani.

W otwartej na oścież bramie więzienia pali się ostatni czolg mojego plutonu.

Tracę przytomność.

Odyskuję ją dopiero w marcu. Przez dziewięć tygodni leżałem w szpitalu, nie wiedząc nic i nic nie czując. Do zdrowia wróciłem dopiero na jesieni, w wiele miesięcy po wojnie, ale do swojej dywizji nie trafiłem już nigdy. Od czasu do czasu spotykałem kogoś z frontowych przyjaciół, ale wiadomości, jakie od nich gromadziłem, były skąpe i często sprzeczne. Nawet Sarkawadze, który wyszedł żywy z tamtej akcji, niewiele mi potrafił dodać do tego, co już wiedziałem.

Ostatecznie udało mi się ustalić, że z dziewięćset więźniów, zamkniętych w klasztorze, tylko czterdzieści zginęło w bocznym skrzydle budynku. Reszta ocalała. Na rynku miasteczka jest teraz mały cmentarzyk, ale spoczywają na nim nie wszyscy żołnierze, polegali trzynastego stycznia. Żalogi dwóch czolgów spłonęły w swych maszynach i szczątków ich, oczywiście, nie znaleziono.

Widziałem na własne oczy, jak ogień ogarnął czolg Wani, ale co się stało z Waną? Do dzisiejszego dnia byłem przekonany, że ranny — może nieprzytomny, a może wola- jący o pomoc przed śmiercią — spa- lił się w tym stalowym pudle...

W czasie bitwy trudno, rzecz jasna, rzezyć za cokolwiek głową, ale ci, co patrzyli na tę bitwę z okien klasztoru, upierają się, że z czolgu do końca nikt nie wyskoczył. A może jednak? Może udało mu się otworzyć któryś z włazów i jakoś się uratować? Może to jest ten ural- ski tokarz Kostii?

Ale to są już tylko domysły...

V

Burza dogorywała, jedynie czasem, daleko — nad Czerniakowem zabrzętało się łubinowe światło pioruna. Deszcz się wyrównał: nie buchał już łalami, lecz toczył się jednostajnie i szaro. Wiatr też przycichał. Basen przed nami przestał kipieć, szmerzał tylko troszeczkę.

Ale za to zrobiło się chłodniej i trzeba było ciasno owijać się w płaszcze kąpielowe.

Już w czasie opowiadania Arkaszy obserwowałem Staszka ze zdziwieniem. Widziałem, że utracił swój świętokrzyski spokój, pochylili się i zapomnieli o prowincjonalnych kompleksach.

Kiedy inżynier skończył, Staszek dotknął jego ramienia i zapytał:

— Przepraszam was, towarzyszu Arkasiuszu, ale chciałbym dowiedzieć się od was jednej rzeczy.

— Jeżeli tylko potraficie... — zgodził się Arkasza zmęczonym głosem.

— O co wam chodzi?

— Czy zwróciście uwagę na jego ręce?

— Na czyje?

— Na ręce, a właściwie na dłonie tego Rosjanina, Wani, czy Waniusza.

Arkasza podniósł brwi i waha- niem.

— Chcielibyście porównać to z relacją Kostii? Co do rąk, typowych dla metalowców?

— Nie tylko. Nie, nie tylko...

— Trudno mi coś powiedzieć. Niczego specjalnego nie pamiętam. Staszek posmuczał.

— To znaczy, że nie on. U niego na pewno zwrócilibyście uwagę na ręce.

— Nie koniecznie — wtrącił się do rozmowy Kostia. Arkadzi nie zna się na tokarstwie, a poza tym jest mało spostrzegawczy.

— Nie — obstawał przy swoim Staszek. — Nie, wy myślicie o tam- tym z Uralu, a ja o kimś innym. Człowieka, o którym mówię, każdy by poznał po rękach...

VI

„Ja, proszę, towarzyszy, byłem z nim razem w lesie, w czterdziestym czwartym. Chodziliśmy wtedy po górach Dymyńskich, po Masłowskich i po Lysogórach... Chociaż — chwilę! On przyszedł już później, na samym końcu, zanim nasz oddział rozbił. Tak, to było w ostrowiec- kich lasach, z końcem kwietnia, albo z początkiem maja, nawet raczej w maju, bo już tam kwitło to i owo.

Przyprowadziła go do nas córce- zka gajowego Konopczaka. Tego sa- mego, co jest teraz nadsiętniczym w jeleniogórskim; a ta dziewczynka, jak słyszałem, studiuję teraz we Wrocławiu... Towarzyszem się mo- że zdaje, że te szczegóły są niepo- trzebne? Przepraszam, ale towarzy- sze zobacz, że potrzebne.

U nas nazywali go różnie, naj- częściej „ruski”, albo „rebione- k”, ale pamiętam, że właściwie miał na imię Iwan i to by także pasowało do opowiadania towarzyszy. Iwan; a kto się z nim bardziej polubił ten go nazywał „Wasiek”. Towarzysze lepiej będą wiedzieć, czy w Rosji też się tak woła na Iwana, czy tyl- ko u nas tak go przerobili, żeby pasował do Jasków i Stasków.

Z niego był kawał chłopca, ale przyszedł taki zabzdurniony, że ważył wszystkiego czterdzieści pięć kilo. Pamiętam, bo sam go ważyłem na świerskiej wadze, jak rekwirowali- śm wozu.

my prosiaki u dziedzica, pana Nie- wiarowskiego. Tak go wygłodzili. tego „rebionka”, w obozie dla jeń- ców. Opowiadał potem, że uciekł, kiedy go wieźli pociągami do Oświę- cimia. No i przysiadł do nas.

Nie długo z nami chodzili. Jednej soboty, (pamiętam, że była sobota, chociaż daty, żeby mnie pokracjać, nie przypominę sobie) — nasz od- dział został otoczony przez naro- dowców. Niemcy mieli front pod bokiem i musieli sobie pomagać ty- mi z Narodowych Sił Zbrojnych.

Szesnaście godzin przebijaliśmy się na północ i ostatecznie wyszła z okrażenia tylko trzecia drużyna i kilku z pierwszej. A reszta ma w lesie pomnik z orłem i z tablicą.

Żywych to wzięli tylko mnie i Waska. Ze jego też mają, dowie- działem się zresztą dopiero później.

Na początku myślałem, że tylko mnie jednému przydarzyło się takie paskudztwo. Nie doszłoby i do tego, bo bardzo baliśmy się narodow- ców i kto został w lesie, podkładał sobie granat pod szyję. Ale myśmy obaj zdrowo oberwali i ziaпали nas nieprzytomnych.

Jechaliśmy furmankami całą noc. Dzisiaj wiem, gdzie nas wieźli; do majątku Lysowody niedaleko Cmelowa. Ale wtedy miałem gę- bę zawiązaną workiem, a do tego parę razy mdlałem, tak, że w niczym nie mogłem się zorientować.

Na dobre ocucilem się dopiero w jakiejś malutkiej, ciemnej komór- ce. Zacząłem ręką macać koło sie- bie i domacałem się czyjeś pod- brodką, zarosniętego szczecina. Po- ciągnąłem ręką po szyji i zoriento- wałem się, że leżę na tamym czło- wieku, na jego piersiach... Chcia- łem się poruszyć, zsunąć, ale rądy nie dałem. Było ciasno. Komór- ce połowy wypełniali jacyś ludzie. Niektórzy byli ciepli; słyszałem, że krew z nich kapie. Inni zwijna sztywnieli. A ten człowiek poje- mniał był już martwy.

Zacząłem pytać, najpierw szepem, potem głośnie i jeszcze głośnie, ale nikt mi nie odpowiedział. Nawet ci, którzy oddychali, leżeli bez czucia.

I tylko jeden, na samym dnie, pod wszystkimi, jęczał czasem, ale rów- nież nieprzytomnie.

Kiedy przysili po mnie dwaj narodowcy, to żeby mi tak latały, że można było nimi sieczkę rznąć. Chodził nie mogłem, dlatego tamci wzięli mnie pod pachy i powlekli najpierw przez jakiś korytarzyk, a potem przez podwójne drzwi do środka dworu.

Nie zapamiętam tych dworskich me- belków z pokręconymi nóżkami, czarnych kredensów, skórzanych fo- teli z żelaznymi poręczami, a przede wszystkim tych portretów, które

ciągnęły się rzędami po ścianach. Pamiętam, że na starszych byli su- rowi mężczyźni, ubrani w ubogą białą, a na późniejszych rozpierali się tylko pyzacz. Kątem oka wi- działem też kamgarnowe spo- nie faszyzów i rękawy z wojskowymi guzikami, które się poruszały koło mojej głowy, ale właścicielom tych guzików nie mogłem się przypa- trzeć.

W wielonym pokoiku na górze czekało na mnie dwóch z narodo- wej władzy.

Jeden był w cywilu, malutki, ly- sawy, z lupieżem na kołnierzu ma- ryńarki i kawaleckim bukliku od papierosa, przyklejonym na brodzie; pewno chciałnął się rano przy go- leniu. Ten miał przed sobą ołówki — każdy równo zacięty z mosiężnym ochraniaczem.

Drugi był w mundurze kapitana, w oficerkach i jednej rękawicze. Druga leżała na stole, palcami prze- rzucana przez tamte ołówki. Kapi- tan miał wielką twarz, czerwoną i dziecinną, chociaż nie był już młody, na pewno po pięćdziesiątce. Kie- dy się poruszał, słyszałem donośne skrzypienie rozmaitych rzemioł- ków i pasków, które włożył na siebie ni- by uprząż. Co pewien czas wyjmo- wał z tylnej kieszeni nikłowy grze- byk i starannie się przeczesywał zagładając w szyję.

— Dzień dobry? — upomniał mnie cicho cywil, jakby starając się za- łatwić to poza plecami kapitana. Powinienem był milczeć, tymczasem ja skwapliwie to podchwyciłem i powiedziałem:

— Dzień dobry, dzień dobry!...

I ten malutki od razu poczuł, że jestem gotów. Posadził mnie na krześle, tuż koło siebie, tak, że w nosie kręcił mnie od dymu źle zgaszonego papierosa, który leżał na spodku. Musiałem podać roz- maite dane, jak w zwykłym urzę- dzie; imię, nazwisko, rok i miejsce urodzenia i tak dalej. Pragnałem, żeby nikt nie zauważył, jak mi się szczęki trzęsą, ale nie potrafiłem tego opanować. Cywil spostrzegł to też natychmiast, przestał pisać i po- drapał się łepym końcem ołówka nad lewą brwią.

— Boisz się, chłopcze? — powie- dział znowu miękim, serdecznym głosem. — Dlaczego?

Drżałem tak, że nawet rąk nie mogłem utrzymać na kolanach. Czulem, że każda kosteczka oddzielnie mi podryguje i rozumiałem, że oni to widzą.

— Przecież my jesteśmy Polacy i ty jesteś Polak. Nie wydymy cię Niemcom. Czego się boisz? — po- wtórzył cywil.

Kiedy byłem bardzo mały i nie mogłem zasnąć, mój ojciec przy-

ślał się do mnie i takim samym spokojnym, troskliwym głosem mnie usypiał. Cywil ciągnął słodko:

— Czego się boisz? Masz siedem- naście lat. Tacy młodzi chłopcy czę- sto robią głupstwa. Nie trzeba te- go brać poważnie. Ja sam, kiedy byłem w twoim wieku... Zresztą nie warto o tym mówić... Zrobiliś głup- stwo, głupsteweczko, skusił cię na ruble, albo na monopol... Poszedłeś do czerwonych przez pomyłkę prawdą? Ale ty jesteś prawdziwy Polak, co?

I tak mówił przez kilka minut co raz pieszczośliwiej, prawie do sa- mego ucha; już myślałem, że mnie chce polizać.

— Boiszewicy stoją za Wisłą... Wiesz co, gdyby nie oni, moglibyś sobie zostać między czerwonymi, ale tak? Zanim przyjdą, musimy tu w ym yć podłogę... A teraz prze- dzikto: adreski i — do domu. Wie- szorem będziesz u mamy.

Zacisnąłem powieki. Nie, oni nie powinni poznać po moich oczach, że złamał mnie zanim zaczęło się badanie. Ze złamał mnie w tej komórce, gdzie jeden na drugim umierali kiekiecy chłopci, gdzie ktoś oddychał na spódzie, pod warstwą trupów, gdzie leżałem na czyichs zimnych piersiach. W lesie, w polu byłem dzielnym chłopakiem, cho- dziłem na trudne wypadki, biłem się na bagnety. Ale tu, nad tą popiel- niczką z niedopalkiem, wszystko wyglądało inaczej... Dwie godziny wcześniej wytrzymałbym wszystko. I może dwie godziny później — również. Ale oni trafili w jakąś szczelinę... „Rozmawiałem następ- nie z wielu ludzmi; nie spotkałem ni- kogo, kto by nigdy w życiu nie poczuł takiej własnie szczeliny.

— Adreski!... — szepnął cywil i nagle uderzył mnie w środek twa- rzy.

Przy drzwiach stało przez cały czas dwóch dużych, brudnych ludzi w płaszczach z wojskowego sukna.

Kiedy ten malutki rozmawiał ze mną ładnie i cicho, zdążyłem o nich zapamiętać. Ale teraz przypomniał mi o sobie. Podeszli wolnym, go- spodarskim krokiem, przeczulił mnie przez stółek pod ścianą i za- częli bić kijami.

— Adreski! — wtrącał się nie- kieady cywil. — Adreski członków PPR, Armii Ludowej, rad narodo- wych... Na co czekasz? Przecież sam wiesz, że będziesz gadał! Więc? Czy nie szkoda ci ucha? Czy nie zał ci zębów? To nie grzyby, nie odo- rna z korzenia.

Znałem tych adresów na mende i kopy: cała moja fornalska rodzi- na, wujowie i siostryjowie, bracia i kuzyni, chrześni i rodzeni — wszy- scy mieli coś wspólnego z czerwona-

robotą. Czulem, że wytrzymam naj- dłuższą minutę, dwie i zacznę sy- pac. I to wszystkim: rodzinę, znajo- mych, nawet obcych, którzy kie- dyś udzieliłi gościny jakiemuś pa- trolowi. Czasami krzyczałem: „Prze- cieć panowie Polacy; jak możecie tak robić Polakowi!” Na to kapi- tan, który stał twarzą do okna i w zdenerwowaniu pukał w szybę, od- powiedział mi przez ramie: „Ty już przestałeś być synem swego dum- nego narodu, ty jesteś ruski toik- sojcz”. Dlaczego odwiekałem to, co miało się stać? Jeżeli musiałem sygnąć, na co czekałem? Tymczasem narodowcy psuli mnie i kałczyli kijami.

Nagle poczułem, że nadszedł osta- teczny moment, że spadam na dno, że zaraz uczynię to, co człowiek mo- że uczynić najpiagawszego — zdradzę... I akurat wtedy, gdy wy- plułem skrzepę, śliskie jak rybki, żeby powiedzieć mi pierwszy aares, cywil kazał mnie odiożyć. Leżałem więc pod starym piecem, płacząc ze wstydu i zachodząc w głowę, dlaczego przegapił właściwy moment — oni, tacy domyslni?

Wtedy wnieśli „rebionka”.

Poznałem go wsiadając tylko po odzieży, bo twarz miał całą w czymś czarnym, zasnętnym. Ale oczy miał otwarte, tylko że mu trudno było nimi poruszać. Dlatego trzymał je przez cały czas wiezione pro- sto przed siebie, uparte, smutne, trochę ironiczne.

— Namyslił się? — zapytał cy- wil.

Wasiek nie odpowiadał.

— Namyslił się? Słuchaj, my potrafimy po kosteczce całego czło- wieka polamać!

Rosjanin dalej milczał.

— Szybko! Gadać! Jakich znasz ludzi? K jakie adresy tebia izwiesł- ny? Bystali!

Nie cncę opisywać, co z nim wy- rabiali. Przez cały czas Rosjanin, nie chcąc krzyzczeć, sapał; wciąż sa- pał. To sapanie, raz szybsze, raz wolniejsze, było oznaką, że trzyma się nadal. Tylko w pewnej sekun- dzie na dźwięk słowa „Polacy”, za- wołał, chrząpiąc i czymś się dławiąc:

— Niel, wy nie Palaki, wy ia- szyszi!

Patrzyłem na to wszystko spod pieca i niespodzianie zdałem sobie sprawę, że on, ten biedny zacięty „rebione- k” właściwie nic nie wie. On znał tylko jeden adres: ga- jówkę Konopczaka. Gdyby po- wiedział, zdradziłby tylko dwuje lu- dzi: gajowego i jego małą córkę.

Zacisnąłem pięści. Wstrzymałem oddech. Więc tego jedynego adresu tak bronili? Jednego adre- su!... A ja...

Wreszcie kapitan, blyszczący rze- mieniami, odwrócił się od okna. W pokoju pachniało surową krwią. Kapitan krzywił się z odrazą.

— Dostę tego chamstwa — powie- dział i ja gotów byłem przypuścić, że się ulitował. Miałem siedemna- ście lat i nie wiedziałem, że łaszys- ci nie litują się nigdy. — Dostę tego chamstwa. Weźcie ich do kucni- ni i zróbcie im rączkę.

W drzwiach, gdy przenosili mnie koło Waska, spotkałem jego wzrok i zrozumiałem, że „rebione- k” w zu- pełności jest mnie pewien.

Potem był wrzawy olej. A potem kapitan zrezygnował z Waska i ka- zał go furmanką wywieźć do lasu razem z tamtymi — z komorki.

Kiedy go brali, oczy miał zalane jakimś gęstym śluzem, pomieszanym z krwią, dlatego nie mógł upewnić się, jak to jest ze mną. Ale czulem, że nie zwątpił o mnie do kon- ca.

Szukałem go potem długo. Ale ani między żywymi, ani między zmar- łymi nie udało mi się go odnaleźć. Wśród chłopów, których alowcy wraz ze mną odbili w parę dni póź- niej — Waska nie było.

W czterdziestym piątym, na po- czątku wiosny, odkryta została pierwsza wspólna mogiła, zamasko- wana przez narodowców w głębi lasu. Ale ani w niej, ani w drugiej, podobnej, na terenie gminy Cme- łów, nie natrafiono na zwłoki ni- kogo, kto byłby wzrostu Waska. Co się z nim stało? Czy leży w jakimś wspólnym grobie, do dziś jeszcze nie wykrytym? Czy uciekł i przyłą- czył się do jakiegoś oddziału? A może narodowcy przesiłali go do ge- stapo? Lub też może przeżywał i za- raz do ofensywy styczniowej i razem z towarzyszem Arkadiuszem ratował ludzi z palącego się więzienia? Mo- że jest dziś w Rosji i pracuje na Uralu?

Tylko te ręce, te ręce... Nie, nie wyobrażam sobie, żeby po tam- tym mógł prowadzić czolg albo pracować na obrabiarce.

Było już po burzy i nastała cie- mnoniebieska pogoda. Można było opuścić gościny balkon i wracać do miasta. Ale ja chciałem się do- wiedzieć, dowiedzieć za wszelką cenę: jak więc właściwie, czy to był jeden i ten sam człowiek? A może było ich dwóch? A może trzech, zupełnie różnych, niezale- nych od siebie?...

Ale na to nikt mi nie potrafił dać odpowiedzi.

Zaczęliśmy ściągać kąpielowe płaszcze i zbierać się do odeszcia.

Wszedł drobny tokarz Kostia i kos- cisty inżynier Arkadzi z fabryki sa- mochodów. Wreszcie podniósł się Staszek i aby poprawić sobie ko- szulę, wyjął ręce z kieszeni.

Wówczas zobaczyłem, że obaj Ro- sjanie przez jeden króciutki mo- ment zatrzymali wzrok na czarnej rękawicze, która obiegała jego le- wą, nieruchomą dłoń.

EDWARD MARZEC

Aleksander Scibor-Rylski

KOESPONDENCJA • KOESPONDENCJA • KOESPONDENCJA

Waga realiów

W kwietniu roku bieżącego wszedł na ekran film pt. „Trudna miłość”. Po- przedzała go reklama zapowiadająca rzecz współczesną, aktualną i interesu- jącą. Przeciwnemu bywałoby kina po- winno to wystarczyć, skoro film wcho- dził na kilka ekranów i reklamy nie za- lują — publiczność kupuje bilety.

Film, niestety, dotyczył wsi. I tu wiel- kie nieporozumienie. Słowo „niestety” odnosi się do całej naszej w tej tematy- ce filmowej twórczości, o której trzeba ce powiedzieć, że zostaje dalej w tyle niż racofatni rolnicy w produkcji. Nie mamy filmów ukazujących ostre konflikty, gruntowne w niektórych dziedzinach przewroty i przemiany, i niezwykle su- kcesy w przebudowie.

„Trudna miłość” stawia kropkę nad „i”. Ujawnia tyle błędów, demaskuje tyl- ę grzechów, tak dobitnie ilustruje bez- karnosć niedołęstwa, że może dać punkt wyjścia do generalnej rewizji i uzdro- wienia tej dziedziny z przewiekiej cho- roboty.

Kecenzeuci „Życie Warszawskie”, „Prze- gląd Kultury”, „Trybuna Ludu” i skrytykowali dzieło rzetelnie, lecz z po- bieżaniem. Potraktowali je jako jeszcze jedną nieudaną próbę, po której należy oczekiwać prób następnych, zapewne bardziej udanych. Ponieważ nie można się pogodzić z tym, w gancie rzecz, rozgrzeszeń robotników czy robotni- ców, którzy nie będą musieli jeszcze przychodzić na odrobiek.

Wzysk w odrobkach uprawiany na bezrolnych i matorolnych polega rze- czywiście na przedłużaniu odrobiek, lecz owo przedłużanie jest możliwe dzięki te- mu, że kulak unika rozliczenia z od- robie

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

W 24 ROCZNICĘ ŚMIERCI POETY

HYMN DO SĘDZIEGO



Rys. Lech Zahorski

Płynie galera, po Morzu Czerwonym,
tłum kajdaniarzy w wosel i steru.
Lecz głośniejszy od kajdan śpiew ludzi dzwoni —
o kraju swym ryczą, o Peru.

O raju Peru ryczy chór opętanych,
gdzie ptaki, tańce, baby,
i gdzie nad kwitnący kwiat pomarańczy
pod błękit się pną baobaby.

Ananasy, banany! Dniem radość i nocą!
Wino, w którym żar słońca się pali...
Aż wtem, nie wiadomo skąd ani po co,
na Peru tłum sędziów się zwalił.

I ptaki, i tańce, i Peruanki
w paragrafy ujęli bez liku;
Oczy ma sędzia jak dwie blaszanki,
migoczące mętnie w śmietniku.

Na ogon pawi, oranżowo-lazurowy,
spojrzał, jak wielki post, srogo, —
i momentalnie wyblakł od stóp do głowy
i ptak, i przepyszny ogon!

A obok Peru fruwały w preri
ptaszki takie, kolibry, do woli!
Sędzia je złapał — i kres ptasiej feerii!
Biedne kolibry ogolił.

I nie ma już w żadnej dolinie dzisiaj
gór, wulkanem płonących.
Nad każdą doliną napis dziś wisi:
„Dolina dla niepalących“.

Nawet me wiersze wygnano z Peru,
za sprzedaż ich — knut i ciemnica.
Sędzia powiedział: „W tych kartkach papieru
spiryтус się czysty przemycą“.

Drży zwrotnik, w zgrzyty kajdan spowity,
a w Peru wyludnienie, pustkowienie...
I tylko strzegąc zbiorów praw obfitych,
żyją tam ponury sędziowie.

A wiecie, żal mi jednak biedaków,
skazanych na ciężkie galery.
Przeszkadzają sędziowie i tańcom, i ptakom,
i mnie, i wam, i Peru.

Przełożył: Anatol Stern

ZENON WIKTORCZYK

Dlaczego nie drukują?

Szanowna Redakcjo!
Czytając Wasze pismo zorientowałem się, że interesujecie się między innymi także sprawami literackimi, a ostatnio słyszałem, że nosicie się nawet z zamiarem wprowadzenia stałego dodatku literackiego.

Z tego wnioskuje, że leżą Wam na sercu sprawy życia literackiego i twórczości, której się u nas ciągle jeszcze rzuca ciężkie klody pod nogi. Przykładem moja sprawa.

Wiosną tego roku zdecydowałem się pogodzić pracę nad doskonałym warsztatem z twórczością i powrócić do czynnego życia literackiego. Dzięki akcji wyjazdów w teren zdołałem się skontaktować w kawiarni z redaktorem literackim pewnego pisma rolniczo-młodzieżowego. Osobnik ów zamówił u mnie wiersz.

Na specjalnej konferencji uściślającej tematykę wiersza uzgodniłem ze wspomnianym redaktorem następujące punkty do uwzględnienia w zamówionym utworze:

1) mobilizacyjna rola młodzieży na wsi, 2) siewy wiosenne a mechanizacja wsi, 3) rola młodzieży na roli, 4) odciążenie żywego inwentarza dzięki stosowaniu sztucznych nawozów, 5) folklor i ludowość w aspekcie życia organizacyjnego, 6) aktywizacja kobiet na odcinku gospodarki domowej, 7) moment świadomości w wydajności, 8) znaczenie jarzyn dla aktualnych wydatków, 9) pieśń ludowa jako czynnik wzmagający, 10) handel i społeczeństwo w perspektywie wsi, 11) wiosna jako element żywiołowej koordynacji hierarchicznie dynamicznej problematyki ujętej w powyższych punktach.

Już po uzgodnieniu tych wytycznych wyżej wspomniany redaktor kazał mi jeszcze dopisać do listy tematyki dwunasty punkt, a mianowicie „pozytywna rola miłości w rytmice wiejskiej twórczości“ (Pan Redaktor sobie przypomniał, że właśnie jakoś niedawno nastąpiło oficjalne odkrycie tematyki uczuciowej, czemu zresztą osobiście byłem przeciwny, jak w ogóle wszystkiemu co grozi popadnięciem w tzw. postawę). Dodatkowo zalecił mi oprzeć się o bogate tradycje naszej liryki ludowej według wzoru OPR 44/54 (traktor + słowik).

Tak zainspirowany co do tematyki wiersza, który poza tym miał być utrzymany w poetyckiej formie jak najbardziej klarownej i dostępnej dla szerokiego rzeszy czytelników, jednak bez rezygnowa-

nia z artystycznych środków wyrazu, aczkolwiek z zachowaniem umiaru metaforyki i synonimiki, choć z dopuszczalnością przejrzystych wizji poetyckich spojrzenia, lecz bez zaciemnienia obrazu rzeczywistości — przystąpiłem natychmiast do pracy. Wprost z konferencji udam się na stację kolejki elektrycznej, skąd wyruszyłem do Leśnej Podkowy w celu zebrania realiów i osobistego wrośnięcia w życie wsi i catkowiatego przesiąknięcia fakturą środowiska, co mi zazwyczaj nadzwyczaj ułatwia pisanie. Toteż jeszcze tego samego dnia, dokładnie mówiąc o godzinie 13,15 wysłałem z Podkowy Leśnej express polecony do redakcji, w którym już wierszem Nie lubię, Panie Redaktorze, chwalić swoich utworów ale niech Obywatel Redaktor sam oceni:

SWIT NADE WSIA
(Wiejska impresja wiosenna)

Warkocz wierzby wtętrzyk czochra,
i nad lasem — błękit, ochra,
Sjena, zieleń i cynober:
To przegrany nocy rober.

A tam w stajni (czy pamiętasz?)
Żywy ryczy już inwentarz.
Słowik w swą ligawkę pieje...
To się wiosna na wsi dzieje.

Świt. Dziewczyna muskularna
Przy stalowych siadła żarnach:
Masto w nich kopystką kreci...
Pieśń do chłopca śle z pamięci:

„Krence, krence se kopystką,
Zostań, Jasu, aktywistą.
Jak zostaniesz, to se razem
Ukleknijmy psed oltarzem...“

Jaś usłyszal, wsiadł na traktor
I zanucił też do taktu:
„Hej, dziewczyno, hej, maszyno.
Ty i traktor dla mnie ino...“

Tak z melodią żwawej śpiewki
Orze skiby pod rzodkiewki.
Miękinie ziemia pod traktorem —
Będą świeże kalafiori.

Jaś szczęśliwy krzyknął „Tato
Teraz nawóz syp z fosfatów.“
Kary siwek schnie z tęsknoty:
„Hej, przeminął wiek mój złoty.“

Zielenię wiosną niwy,
Spójrż z radosnej perspektywy,
Jakież wsi tej obraz inny,
Gdy w niej sklep spółdzielni
gminnej.

Pisane w terenie, wiosną 1954 roku.

Taki, Obywatelu Redaktorze,
wiersz napisałem i wysłałem niezwłocznie, zgodnie z zamówieniem.

do redakcji wspomnianego pisma rolniczo-młodzieżowego.

Mimo to wiem, że ten nie ukazał się drukiem, co dla mnie jest wielką niesprawiedliwością.

Zgadzałem się, że może nie dostatecznie uwzględniłem wszystkie wytyczne, ale pominąć nie mogłem żadnej. Mechanizacja jest (traktor), mobilizacja jest („Jaś szczęśliwy krzyknął „Tato...“), aktywizacja kobiet jest (muskularna dziewczyna przy żarnach), piosenki, folklor i ludowość jest („Krence, krence se kopystką...“ — zwracam tu uwagę na fonetyczne odzwierciedlenie regionalnej z charakterystyczną dla niej nosowością infiksową), handel społeczny jest („...Gdy w niej sklep spółdzielni gminnej“), miłość także jest („Hej, dziewczyno, hej, maszyno!“ — słowem wszystko jest.

A mimo to wiersz do dzisiejszego dnia nie ukazał się.

Daleki jestem od przeceniania swojej twórczości, ale to jest bardzo dobry wiersz. Mocny. Z tym może, że brak w nim obrazu kulaka sabotującego spółdzielczość produkcyjną oraz momentu walki z alkoholizmem. Więc uwzględniłem dodatkowo kulaka i alkoholizm dopisawszy jeszcze jedną zwrotkę, w której udało mi się załatwić obydwie sprawy na raz. Oto „ta zwrotka:

Kulak łapą w pierś się huknął,
Bo w niej podłą zemdlał oknuł:
„Nie przystąpię do spółdzielni.
Pyry oddam do gorzelnii.“

Prawda, że zrecenzję? Więc dostałem tę zwrotkę i też nic. Do dzisiejszego dnia wiersza nie wydrukowali i jeśli to dłużej potrwa, to się cały utwór może zdezaktualizować, zwłaszcza, że to już ku ziemie idzie, a wiersz był wiosenny.

Redaktor tego pisma na wszystkie telefony odpowiada wymijająco i tak samo zachowuje się przy osobistych spotkaniach. Wymija mnie i przechodzi na drugą stronę ulicy.

W tym stanie rzeczy, zwracam się do Obywatela Redaktora z prośbą o użyczenie mi Waszych łamów z których rzucam publiczne pytanie: dlaczego nie drukują takich wierszy?

(podpis znany redakcji)
Niestety, drukują
(przyp. redakcji)
Przepisał Zenon Wiktorczyk

*) tzw. licentia poetica, autor ma oczywiście na myśli świecki oltarz i biuro funkcyjnarzysza Urzędu Stanu Cywilnego w odnośnej gminie (przyp. aut.).
) oczywiście — tajnej. (przyp. aut.).

ZOFIA BYSTRZYCKA

Z doświadczeń zgodliwej

ROK 1951

Styczeń. Szalenie się cieszę z tego schematyzmu. Człowiek przynajmniej wie, czego się trzymać. Zabieram się do powieści o hucie, to teraz strasznie modne.

Luty. Napisałam parę rozdziałów. czerpiąc obficie z doświadczeń moich kolegów po piórze, z których kilkadziesiąt też pisze o hucie. Akcję postawiłam tak: robotnik-pozytywny, inżynier-negatywny, a nad wszystkim duch sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej. Zdaje się, że gdzieś to już czytałam, ale to drobiazg. W każdym razie do tego nikt się nie przyczepi. Brak mi tylko technologii. Jadę po nią w teren. Zadzwią świat moją znajomością nomenklatury. Już ja im pokażę!

Marzec. Śląsk jest bardzo brzydki, dlatego napisałam wiersz o pięknie wielkiego pieca. Przystępuję do pracy nad powieścią. Zamykam się w pokoju i piszę.

10.III. Pierwszy kontakt z terenem. Siedziałam pół dnia w dyrekcji huty. Potem było posiedzenie. Główny inżynier nawet przystojny. Mówili dziwne rzeczy, a ja sobie zapisywałam, bo to właśnie ta technologia. Okazuje się, że na hucie pracują także kobiety, ale do powieści ich nie wsadzę, bo mogą wprowadzić erotyzm.

19.III. Byłam na dziewiętnastu posiedzeniach. Już wiem, co to jest wlew, mufa, przyłik i wypa. Wszystkie te doświadczenia z terenu zapisuję alfabetycznie w osobnym zeszytce.

25.III. Zwidziałam hutę. Główny inżynier ma niebieskie oczy z rzęsami i mnie oprowadzał. Dowiedziałam się, że w wielkich piecach stali się nie robi, tylko w innych, martenskich. Jakże to dziwne. Mój fachowy słownik rośnie z dnia na dzień.

Kwiecień. Zauważyłam, że na hucie do pewnych prac używa się jeszcze ludzi. Podobno to robotnicy i jest ich kilka tysięcy. Widocznie na tym etapie trzeba ich jeszcze tolerować. W każdym razie z hutnikami będę w powieści ostrożna, bo podobno żenią się i mają dzieci. Poza tym dzisiaj dowiedziałam się, że na walcowni jest samotnik, oraz przodek i zadek. Porywające!

Maj. W parku krzaczki puściły zielen, a ja też czuję się dziwnie. Sił dodała mi myśl, że to nietypowe. Dzisiaj Karolek (główny inżynier) chwycił mnie w rękaw, w uchwyt samopodciągający, zapisał, czy wiem, co to jest, a ja powiedziałam, że to w żargonie oznacza, był bardzo szczepiły. Potem dodał w zamysleniu, że walec ma czop. Ten dialog wsadzę do powieści. Mój te-

chnik, z pochodzenia chłop, powie te słowa nie do kobiety, tylko do wycieczki pracowników Cyrku Nr 3, zwiedzającej nasz przemysł. Tak będzie bezpiecznie.

Czerwiec. Wróciłam z huty do Warszawy. Uważam, że trzy miesiące terenu to wystarczy. Zresztą Dziuba siedziała w tej swojej kopalni niecały miesiąc, a teraz drze nosa. Na dworcu przywitał mnie mąż i zapytał, jak ta huta. Podczas kolacji odczytałam mu cały alfabetyczny materiał z terenu. Żeby wzmocnić efekt rzekłam na końcu: „Siednij se ino Manek, bo cię wybiepam“. Wtedy zauważyłam, że smacznie chrapie, z czołem opartym o stół.

7.IV. Niezrażona tym, zasiadłam do biurka. Piszę moją powieść ciągle myśląc o naszych krytykach, żeby im dogodzić. Powieść się rozrasta, bo całkiem zapomniałam koksowni. Wsadzę tam sabotażystę, żeby mieć z krytykami święty spó-

Kazał mi czytać literaturę klasyczną.

29.III. Przeczytałam Annę Kareninę. Słabe. Brak opisów ulepszeń, które Lewin (czyżby krewny Leopolda?) chce wprowadzić do swego majątku z przeżytkami feudalizmu. A gdzie jest postać maszynisty z pociągu pod który — złamana przez cara! — rzuca się Anna Karenina? Ejże, panie Tołstoj, mało bywał pan w terenie, to widać.

Czerwiec. Oddałam powieść do wydawnictwa.

Sierpień. Na dworze jest upał. Powieść jest w wydawnictwie.

Grudzień. Powieść jest w wydawnictwie. Przyjęta! Na mieście, czyli w „Lajkoniu“ mówią o niej z szacunkiem. Zjadłam drugą zaliczkę. Na dworze mróz, biało, słonecznie. Aby podreperować budżet, napisałam wiersz o naszych dozorcach, którzy nie uprzątają śniegu. Dziuba pisze drugą powieść o kopalni. Wszwstko z tych czterech tygodni.



Rys. Lech Zahorski

kój. Sabotażysta puścił koksownię w powietrze. To będzie ten wydźwięk.

Grudzień. Piszę ciągle, uważnie czytając nasze literackie. Naładuję się wewnętrznie, a wydawcę, kiedy wstąpię do biurka, w życiu rodzinnym. Na dworze mróz i skrzy się śnieg. Napisałam wiersz o Zakładzie Oczyszczania Miasta, że toleruje takie rzeczy,

ROK 1952

Styczeń. W Sylwestra spotkałam przedstawiciela inteligencji technicznej. Chociaż inżynier-hutnik, ale wie mniej ode mnie. Kiedy mu zaczęłam mówić o żelazniku magnetycznym to zbladł i przerwał ze mną tańce. Mężczyźni nie lubią, kiedy kobieta goruje. Moja praca nad powieścią trwa.

Marzec, 6.III. Rozmawiałam ze znajomym krytykiem. Opowiedziałam mu trzon mojej powieści i zapytałam, co myśli. Odpowiedział, że owszem, chociaż tego nie widać.



JAN CZARNY

Bywa i tak...

Miłość różnymi drogami chadza:

On Muzie wierny — Ona — go zdradza.

JANUSZ ŁASKOWSKI

Na recenzenta

Powoduje się zwykle względami rozsądku:

gani tylko na końcu, chwali — na początku.

EUGENIUSZ ŻYTOMIRSKI

Fraszkopisarz

Pisywał tylko fraszki, ale czuł się wieszczem

I dumny jak paw chodził: — Fraszki — tak powiadał —

Rej pisał, Kochanowski, pisał wielki Adam...

— Prawda. Pisali fraszki. Ale coś tam jeszcze

RYSZARD PODLEWSKI

Pisarz

Ugrzązł przy biurku tonąc w schematach,

Niegdyś literat — dziś piórokrata.

Zofia Bystrzycka

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 12. Telefony: Sekretariat 886-11, 80081-3. — Red naczelny 879-38. Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 853 30. Wydaje RSW „Prasa“. Kolportaż PPK „Ruch“, Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804 20 do 25. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4 60, kwartalnie zł 13 80, półrocznie zł 27 60, rocznie zł 55 20. Wpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa“, Warszawa, ul. Poznańska 38, konto PKO 1-111 5589, tel. 823-09. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Wklesłodrukowe RSW „Prasa“, Warszawa, Marszałkowska 3/5.